

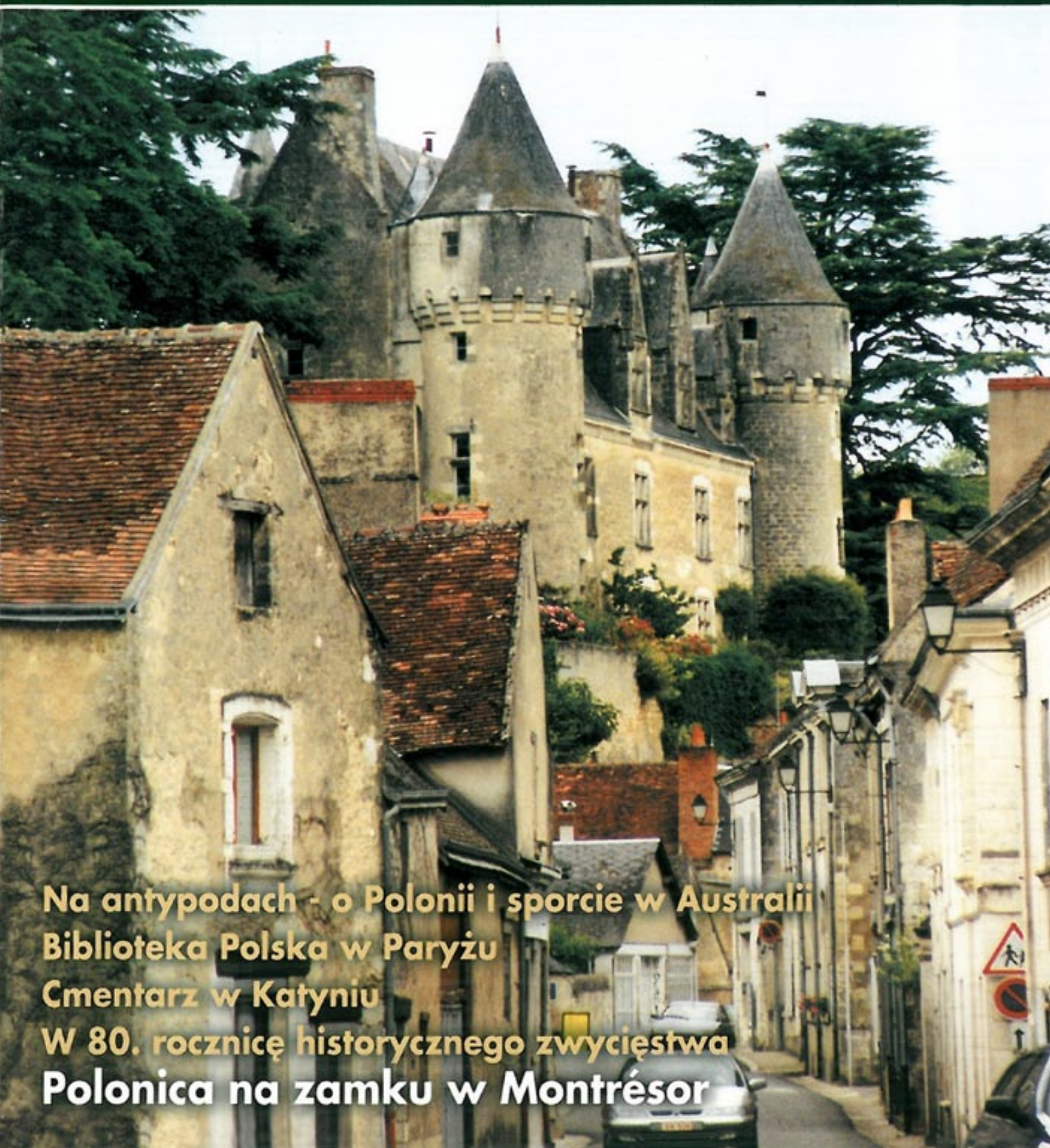
BIULETYN STOWARZYSZENIA

WSPÓLNOTA POLSKA

sierpień 2000



8 (96)



Na antypodach - o Polonii i sporcie w Australii
Biblioteka Polska w Paryżu
Cmentarz w Katyniu
W 80. rocznicę historycznego zwycięstwa
Polonica na zamku w Montrésor

Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie

Czym Częstochowa dla Polski, Wilno dla Litwy, tym Berdyczów ze swoim Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej jest dla Ukrainy.

Drodzy przyjaciele, tym listem chcemy serdecznie podziękować za pomoc i ofiarność oraz przybliżyć naszą działalność w Berdyczowie w ostatnim okresie.

W czasie świąt Bożego Narodzenia przeprowadziliśmy akcję pomocy dla biednych rodzin z naszych parafii, ofiarując im zimowe ubrania i buty. Dzieci dostały artykuły szkolne oraz podręczniki do katechezy. Wiele rodzin otrzymało artykuły spożywcze. Jednym słowem - umożliwiliśmy im radosne i pełne przeżycie świąt. Dzięki pomocy wielu ludzi dobrej woli mogliśmy dotrzeć do większej liczby potrzebujących rodzin. Naszym zadaniem jest także opieka nad powołaniami do życia konsekrowanego. W dniach 3-5 marca na rekolekcje, prowadzone przez o. Tomasza, przyjechali młodzi ludzie z całej Ukrainy, ogółem 70 osób. Dwóch młodych chłopców z Berdyczowa przygotowuje się do wstąpienia do zakonu, a jeden już odbywa studia teologiczne w Polsce. W święto Zwiastowania Anielskiego, 25 marca, gościliśmy w naszym Sanktuarium nuncjusza apostolskiego abp. Mikołaja Eterowicza, który był głównym celebrawcą uroczystej Mszy św. W dniach 20-21 maja odbyły się w naszym mieście po raz pierwszy Dni Kultury Polskiej, których celem jest odrodzenie polskości na tych terenach.

W dalszym ciągu trwa odnawianie górnego kościoła naszego Sanktuarium oraz budowa centrum formacyjno-socjalnego. Budowę tę mamy zamiar skończyć jesienią 2001 roku.

Ze względu na wciąż pogarszającą się sytuację ekonomiczną Ukrainy, nie jesteśmy w stanie sami pokryć wszystkich wydatków związanych z naszą działalnością. Jest to możliwe tylko dzięki ofiarom ludzi dobrego serca nadsyłanym z zagranicy. Dlatego polecając modlitwom przyszłość tego Sanktuarium, ośmielamy się prosić o wsparcie finansowe.

Modlimy się w intencji ofiarodawców przed cudownym obrazem.

Składamy serdeczne „Bóg zapłać”

Karmelici Bosi z Berdyczowa

Adres kontaktowy w Polsce:

o. Benedykt Krok OCD, ul. Rakowicka 18, 30-960 Kraków

Adres na Ukrainie:

**Karmelici Bosi, Płoszcza Soborna 25, 13312 Berdyczów, Żytomierska obl.
tel. (00380) 4143 22350**

Konto:

Prowincja Krakowska Karmelitów Bosych

Biuro Pomocy dla Sanktuarium w Berdyczowie

Bank PEKAO S.A. IV/O Kraków 10801138-3287-27006-801000-111/1

W numerze:

Ze świata



AUSTRALIA

Na antypodach	2
<i>Zenobiusz Mateja</i>	
Sport polonijny w Australii	5
<i>Zmysław S. Portowy</i>	
Olimpiady: Melbourne 1956 i Sydney 2000	6

AUSTRIA

Polacy w Austrii	7
Duszpasterstwo w Austrii	8
<i>Andrzej Pawłowski</i>	
Polonijna wiosna w Austrii	10
<i>Ewa Dan</i>	

BIAŁORUŚ

Grodno - stolica festiwalu	13
<i>Tatiana Zaleska</i>	
Obrazki zaniemeńskie - 2	14
<i>Zdzisław J. Winnicki</i>	

CZECHY

Festiwal 2000	16
<i>Elżbieta Stróczyk</i>	

DANIA

Polacy w kulturze Danii	18
-------------------------------	----

FRANCJA

Biblioteka Polska w Paryżu	19
<i>Sławomir Kalemka</i>	
Ksawery Branicki i polonika na zamku w Montrésor	22
<i>Lechosław Lameński</i>	
Muzyczny Dzień Dziecka w Lyonie	25
<i>Joanna Pietrzak-Thébault</i>	
Wakacje w Prowansji	26
<i>Magdalena Guilhou</i>	

ROSJA

Otwarcie cmentarza polskich oficerów w Katyniu	26
<i>Andrzej Kaczyński</i>	

STANY ZJEDNOCZONE

Przekazanie bandery ORP „Sęp”	29
-------------------------------------	----

SZWAJCARIA

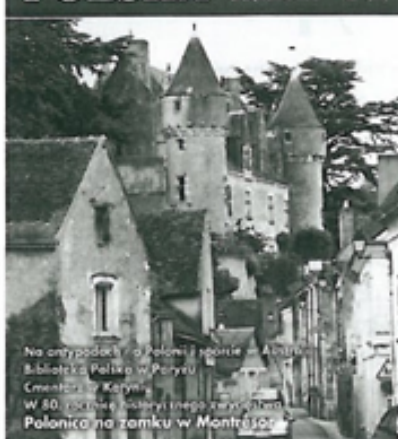
Francuskie przymierze i szwajcarski ślad	29
<i>Bohdan Rączkowski</i>	

WIELKA BRYTANIA

Jubileusz	32
<i>Agnieszka Panecka</i>	
A jak to w Bletchley było... ..	33
<i>Jan Mokrzycki</i>	
Polski Londyn	34
<i>Bogna Kaniewska</i>	
Zmiana warty w POSK-u	35
<i>Szymon Zaremba</i>	

BIULETYN STOWARZYSZENIA WSPÓLNOTA POLSKA

sierpień 2000 8 (96)



8 (96)
sierpień 2000

nasza okładka:
Zamek w Montrésor
Fot. A. Zawadzka

Wszystkich Czytelników zapraszamy
na naszą stronę internetową:
www.wspolnota-polska.org.pl
na której zamieszczamy aktualne informacje,
nadsyłane przez Państwa m.in. na nasz nowy e-mail:
apanecka@wspolnota-polska.org.pl



Z prac Stowarzyszenia

Oddział w Bielsku Białej	
Z pomocą na Kresy	36
Oddział Dolnośląski	
Kresowiaci w Głogowie	36
Inwestycja w przyszłość	37
<i>Ryszard Olejniczak</i>	
Oddział w Krakowie	
Rodacy opuszczonym rodakom	38
<i>Małgorzata Stępka</i>	
Letnia szkoła dla dorosłych	40
Oddział Kujawsko - Pomorski	
Gorące lato	40
<i>Irena Bagińska</i>	
Oddział w Lublinie	
Kurs szkoleniowy dla polskich lekarzy ze Wschodu	43
<i>ks. Ireneusz Korzeniowski</i>	
Oddział w Rzeszowie	
Podsumowanie polonijnego lata	44
<i>Lubomir Radłowski</i>	



Silva Rerum

Gustaw Herling-Grudziński (1919-2000)	46
<i>Bogna Kaniewska</i>	
W 80. rocznicę historycznego zwycięstwa	47
<i>Piotr Lossowski</i>	

Na antypodach

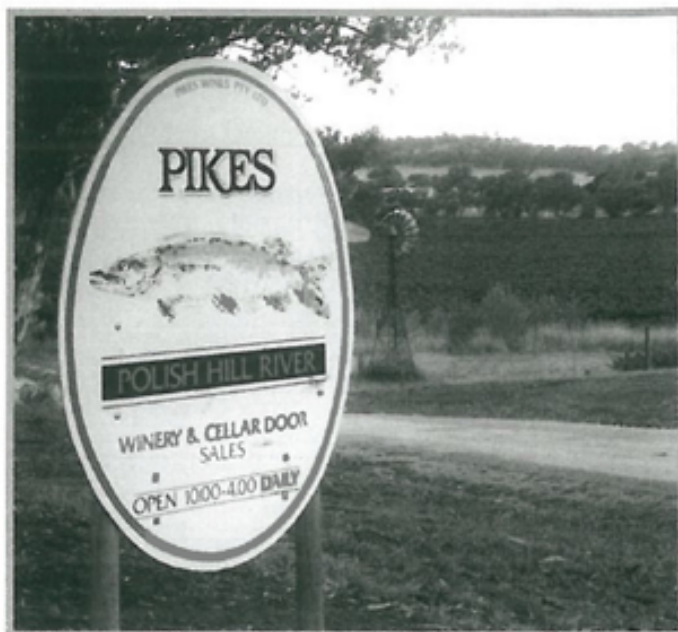
Australia. Z europejskiego punktu widzenia kraj-kontynent za siedmioma morzami i siedmiuset górami, gdzieś na dole globusa i na końcu świata. Współcześni Australijczycy wolą mapę, na której ich kraj zajmuje pozycję centralną, mając ponad sobą, po lewej dalekowschodnią Azję, a po prawej zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej, a więc region zwany „strefą Pacyfiku”, który według wielu będzie w XXI wieku kształtował przyszłość świata.

Gdyby nie liczyć osiadłych w Australii od kilkudziesięciu tysięcy lat Aborygenów, współczesna ludność tego kraju to potomkowie osadników, którzy przybywali na kontynent na przestrzeni dwustu ostatnich lat. Nie wszyscy jednak docierali tam z własnej woli. Prawo angielskie знаło instytucję zesłania „dla ukarania zлочyńców, wagabundów i upartych żebraków” od 1598 roku. Po wybiciu się na niepodległość kolonii w Ameryce, postanowiono, że angielską Syberią stanie się Australia. Dzisiejsza ludność Australii jest więc w sporej części złożona z potomków zesłanych zлочyńców i tych, którzy ich pilnowali. Na szczęście nie ma dziś potrzeby ani sposobu na odróżnienie jednych od drugich.

Odległy kontynent przyciągał także podróżników i badaczy oraz coraz większą liczbę zwykłych ludzi, poszukujących dla siebie miejsca w świecie obiecującego lepsze jutro. Jako że Polacy są wszędzie, byli i wśród wszystkich wyżej wymienionych kategorii przybyszów. Jak twierdzi Lech Paszkowski, najwybitniejszy znawca historii Polaków w Australii: „*Najprawdopodobniej pierwszym Polakiem, który postawił nogę na tym kontynencie, był Ksawery Karnicki. (...) Urodził się w roku 1750 (...) Wyemigrował do Ameryki Południowej w dwa lata po pierwszym rozbiórce. Zawędrował do Chile, gdzie zorganizował wyprawę wielorybniczą do Australii. W roku 1791 przybył Karnicki do Marsylii via Australia*”. Polskie nazwiska widnieją także na listach skazanych. Według Wiesława Olszewskiego, autora „Historii Australii” - „najwcześniejszym przybyszem w tej kategorii byłby Peter (John) Potaski, urodzony w Polsce w 1762 r. i w 1803 r. zesłany do Hobart za kradzież szala i innych drobiazgów. Po uwolnieniu pozostał jako osadnik na Tasmanii”.

Duże zasługi mają polscy odkrywcy i badacze Australii, którzy dotarli tu w pierwszej połowie XIX wieku, zwłaszcza dr Jan Lhotski i Paweł Edmund Strzelecki. Strzelecki - odkrywca urodzajnych terenów Gippsland, zdobywca najwyższego szczytu Australii (2230 m), który nazwał Górą Kościuszki, a także odkrywca pierwszych w Australii pokładów złota jest jednym z najbardziej znanych w tym kraju podróżników, geologów i badaczy. Poza Górą Kościuszki na mapie Australii jest kilkadziesiąt nazw nadanych przez Strzeleckiego lub noszących jego nazwisko.

Za pierwszą zwartą grupę emigrantów z ziem polskich uważa się przybyszów z Wielkopolski, którzy w połowie XIX wieku (prawdopodobnie w roku 1853) założyli 130 km na północ od Adelajdy polską osadę Polish Hill River. Miejsce to, otoczone opieką Polonii z Adelajdy, istnieje do dziś jako muzeum. W okresie międzywojennym kolejne spisy powszechne podawały następujące liczby osób urodzonych w Polsce: 1921 - 1780, 1933 - 3239. W olbrzymiej większości byli to polscy Ży-



Australijska specjalność - winnice, a z nich doskonałe wino

dzi. Niewielką grupę stanowili Polacy przybyli z azjatyckich części Rosji oraz Chin. Od przyjazdu do Sydney w 1925 r. do śmierci w czerwcu 1999 r. powszechnie znana w całej polskiej kolonii i wielce jej pomocna była p. Albina Kondratowicz. Jej córka, p. Irena Wojak - choć urodziła się już w Sydney i jest trzecim w tej rodzinie pokoleniem urodzonym poza Polską - jest znaną i cenioną działaczką polonijną.

Trudna jest odpowiedź na proste pytanie - ilu jest Polaków w Australii. Jeszcze spis z roku 1947 mówił zaledwie o 6573 osobach urodzonych w Polsce. W latach 1947-1952 nastąpił gwałtowny wzrost liczby przybywających do Australii Polaków. Niemal w całości byli to żołnierze PSZ na Zachodzie i ich rodziny, dipłomi oraz dzieci polskie uwolnione z ZSRR, a docierające do Australii z Indii, Persji lub Afryki. Spis z 1954 roku mówi już o 56594 osobach urodzonych w Polsce. Kolejne, choć nie tak już duże fale emigracji z Polski przybywały do Australii na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w drugie połowie lat siedemdziesiątych oraz przede wszystkim w dziesięciolecie 1981-1991. W tym ostatnim okresie osiedliło się w Australii 22436 osób. Obecnie zgodę na emigrację do Australii, otrzymują już tylko pojedyncze osoby.

Zmieniające się, ze spisu na spis, metody badawcze sprawiają, że trudno dziś precyzyjnie określić wielkość polskiej społeczności w Australii. Najbliższe rzeczywistości wydają się być dane spisu z roku 1986, kiedy to nie tylko uwzględniano kategorię „urodzonych w Polsce”, ale także drugie pokolenie, czyli urodzonych w Australii z jednego lub obojga rodziców urodzonych w Polsce. Wówczas też po raz ostatni odwołano się do samoidentyfikacji i w całym spisie polskie pochodzenie zadeklarowały 142173 osoby. Przyjmuje się więc szacunek, że **Polonia australijska liczy około 150 tysięcy osób**.

Najwięcej osób deklarujących polskie pochodzenie zamieszkuje w Melbourne (ok. 45 tys.). W stanie Nowa Południowa Walia żyją ponad 42 tys. osób, z czego w Sydney prawie 35 tysięcy. Polskie skupiska w innych stolicach stanowych są dużo mniejsze - w Adelajdzie ok. 16 tys., Perth - 12 tys., Brisbane - 7500, Canberze - 2500. Na Tasmanii mieszka ok.



2500 Polaków a w tropikalno-pustynnym Terytorium Północnym zaledwie ok. 350.

Oddalenie od Kraju i niepodległościowo-żołnierski rodowód emigracji powojennej sprawiły, że zbudowane przez nią podwaliny polskiego życia, ucieleśnione w domach i klubach polskich, kościołach i szkołach są wyjątkowo solidne i po dziś dzień umożliwiają prowadzenie bogatego życia polonijnego. Służy temu także kilkaset organizacji polskich, z których większość skupiona jest w **Radzie Naczelnej Polskich Organizacji w Australii**. Powstała ona w 1950 roku w Melbourne, by „reprezentować wszystkich Polaków w Australii, roztaczać nad nimi opiekę moralną i materialną”. Przez pierwsze trzy lata funkcję prezesa pełnił Alfred Poniński, były ambasador RP w Chinach, a następnie gen. Juliusz Kleeberg. Najdłużej (1979-1997) funkcję tę pełnił Krzysztof Łańcucki. Po nim, w latach 1997-1999 prezesem był inż. Ryszard Majchrzak. Od czerwca 1999 roku prezesem Rady Naczelnej jest dr Janusz Rygielski a wiceprezesem - urodzona w Australii Lucyna Artymiuk. Siedzibą RN jest obecnie Brisbane. W poszczególnych stanach istnieją federacje organizacji polskich. Do każdej z nich należy od kilku do kilkudziesięciu organizacji społecznych, kulturalnych, kombatanckich, oświatowych i sportowych.

Wśród innych ogólnaustralijskich organizacji polonijnych wymienić należy przede wszystkim **Stowarzyszenie Polskich Kombatantów**, którego prezesem od wielu lat jest Jerzy S. Misiak. Ta zasłużona organizacja, ostoja myśli niepodległościowej, była przez długie lata głównym organizatorem życia ideowego, politycznego i społecznego emigracji żołnierskiej, a także różnorodnej pomocy dla kraju. Dziś ma 19 oddziałów, posiada i prowadzi swoje domy i kluby oraz szkoły sobotnie. Nadal organizuje życie społeczne, towarzyskie i kulturalne swych członków i sympatyków, współpracuje z organizacjami kombatantów australijskich. Jednym z przejawów troski SPK o przyszłość społeczności polskiej w Australii było zorganizowane w listopadzie 1997 roku w Adelajdzie sympozjum „Czego chcemy i dokąd dążymy?”.

Zasłużone pracą charytatywną oraz wspieraniem polskiej kultury i oświaty jest **Zjednoczenie Polek w Australii i Nowej Zelandii**. Równie wiele zasług ma **Związek Harcerstwa Polskiego - Okręg Australia**.

Nieco innych charakter i cele ma **Australijski Instytut Spraw Polskich**, organizacja założona w 1991 roku przez prof. Andrzeja Ehrenkreutza i prof. Jerzego Zubrzyckiego. Instytut stawia sobie za cel promocję spraw polskich wśród społeczeństwa australijskiego. Jednym ze sposobów realizacji tego zadania jest zapraszanie do Australii i organizowanie spotkań ze znanymi polskimi politykami i osobistościami. Wśród dotychczasowych gości AISP byli m.in. Jan Nowak-Jeziorański, Hanna Suchocka, Leszek Balcerowicz, Adam Michnik, Jan Karski, Władysław Bartoszewski, Jan Krzysztof Bielecki, Hanna Gronkiewicz-Walz i Czesław Bielecki.

Wiele dobrego dla Polski zrobiła **Niezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej „Polcul”**. Jej twórcą i dyrektorem jest Jerzy Boniecki. Fundacja powstała w 1980 r. w Sydney. Do 1989 roku wspierała kulturę polską oraz niezależne, demokratyczne inicjatywy społeczne. Przemycane do kraju kilkusetdolarowe nagrody trafiały najczęściej do rąk aktywistów solidarnościowego podziemia, publicystów i kolporterów „drugiego obiegu”. Wśród jurorów Fundacji byli m.in. Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński i Jan Nowak-Jeziorański. Od 1989 r. fundacja wspiera m.in. samorządowe inicjatywy lokalne, tworzenie społeczeństwa obywatelskiego, współpracę ze społeczeństwami krajów ościennych, pracę z młodzieżą. Łączna suma przyznanych nagród sięgnęła 650 tys. dolarów.

Życie polonijne

Wyjątkowo bogata jest twórczość i życie artystyczne australijskiej Polonii. Swoje miejsce znalazło w Australii wielu twórców: malarzy, rzeźbiarzy, poetów, pisarzy, muzyków, aktorów i filmowców. Do najbardziej znanych należą zapewne: poeta i pieśniarz Jacek Kaczmarski, reżyser filmowy Jerzy Domaradzki, pracujący w filmach i teatrach australijskich, aktorzy

Centrum Melbourne





Gosia Dobrowolska, Bogdan Koca i Krzysztof Kaczmarek, poeci Marek Batorowicz i Ludwika Amber. Istnieje kilka amatorskich, lecz o dobrym, niemal profesjonalnym poziomie, teatrów: „Teatr Stary” w Adelajdzie (istnieje od 1955 r.), „Teatr Ottoway” także z Adelajdy, prowadzony przez ks. dr Mariana Szablewskiego, grający w języku angielskim, „Strzelecki Theatre” w Melbourne, specjalizujący się w lżejszym repertuarze. Teatr „Akt” z Melbourne oraz kilka kabaretów.

Jak we wszystkich środowiskach polonijnych, niezwykle popularny jest polski folklor. Istnieje kilkanaście polonijnych zespołów pieśni i tańca. Do najlepszych i najbardziej znanych należą: istniejące od 42 lat „Tatry” z Adelajdy, „Polonez” z Melbourne założony w 1965 i do dziś prowadzony przez rodzinę państwa Czechów, „Oberek” z Hobart, „Kukułeczka” z Perth, „Wielkopolska” z Canberry, „Obertas” z Brisbane, „Syrenka”, „Kujawy” i „Lajkonik” z Sydney. W 1999 roku reprezentacja tych trzech sydneyjskich zespołów z dużym powodzeniem wystąpiła na rzeszowskim Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Istnieje także kilkanaście chórów polonijnych.

W Australii tworzy ponad 100 artystów plastyków i fotografików oraz podobna liczba muzyków polskiego pochodzenia. Wydana w 1997 roku antologia „Zielona zima” (opracowana przez Ludwikę Amber) prezentuje prace 20 piszących po polsku pisarzy i poetów. Nie obejmuje m.in. kilkunastu autorów polskiego pochodzenia piszących w języku angielskim, np. Petera Skrzyneckiego, Ani Walwicz, Marii Lewitt, Toma Zubrzyckiego, Petera Bakowskiego, Zofii Kruk, Andrzeja Korwin-Romańskiego i wspomnianego już aktora Bogdana Kocy, który jest także piszącym w języku angielskim dramaturgiem.

Znakomitym sposobem prezentacji kultury polskiej i własnej twórczości australijskiej Polonii są organizowane od 1975 roku, co 3 lata, za każdym razem w innej stolicy stanowej, Festiwale Kultury Polskiej POL-ART. Ostatni, siódmy już, odbył się w ostatnich dniach grudnia 1997 i pierwszych stycznia 1998 w Melbourne. W powszechnej opinii polonijnych działaczy i uczestników poprzednich festiwali był imprezą największą i najbardziej spektakularną. Zgromadził ponad 800 artystów (m.in. malarzy, rzeźbiarzy, poetów, aktorów, śpiewaków, choreografów i tancerzy w kilkunastu zespołach pieśni i tańca, chórach, zespołach estradowych i teatralnych) z całej Australii oraz kilka tysięcy widzów uczestniczących w imprezach artystów oraz doskonale, na najwyższym profesjonalnym poziomie organizacyjne przygotowanie całości sprawy, że festiwal POL-ART'97 uznany został za duży sukces. Następny, ósmy Festiwal POL-ART odbędzie się w Brisbane na przełomie

2000 i 2001 roku. Przygotowania do niego są już w pełnym toku. Komitet organizacyjny przyjął, iż brisbański POL-ART odbędzie się pod hasłem „Młodzież przyszłością narodu”. Do polskiego dziedzictwa w Australii, od którego zależy polonijne życie kulturalne, oświatowe i społeczne należą także domy i kluby polskie, budowane przed

laty jako miejsca zaspokojenia własnych potrzeb poszczególnych społeczności polskich. Największe i najbardziej znane to w Sydney: kluby polskie w Ashfield i Bankstown oraz klub sportowy „Polonia” w Plumpton i Dom Białego Orła w Cabramata, w innych miastach Nowej Południowej Walii Domy Polskie w Newcastle, Maitland i Wollongong, w Melbourne: Dom Kopernika w Ballarat, Dom Polski „Syrena” w Rowville, Dom Białego Orła w Geelong, Dom Polski w Albion, w Canberze: Klub SPK „Tobruk House” i Dom Mikołaja Kopernika, w Adelajdzie: Centralny Dom Polski, Dom Kopernika i Dom Millennium, w Perth: Dom Polski w Mayland, Klub Gen. Sikorskiego, Klub Cracovia, w stanie Queensland: Dom Polski w Brisbane, w Darra i Dom Polski SPK w Capalaba, Domy Polskie w Hobart i Launceston na Tasmanii.

Dla zachowania w Australii polskości istotne znaczenie ma realizowana przez władze australijskie polityka wielokulturowości. Wykreowana i do dziś współtworzona przez prof. Jerzego Zubrzyckiego idea wielokulturowości w Australii realizowana jest na szczeblu federalnym przez Ministerstwo Imigracji i Wielokulturowości. Przecistawiana wcześniej obowiązującej ideologii asymilacji, idea wielokulturowości to wpisane w politykę społeczną Australii prawo grup etnicznych i poszczególnych osób do pielęgnowania swego dziedzictwa kulturalnego oraz obowiązek przejawiania zrozumienia i poszanowania dla innych kultur. Dodatkowy element tej idei dodał w 1988 roku John Howard - dzisiejszy premier, a ówczesny przywódca frakcji Partii Liberalnej w parlamencie - opowiadając się za „społeczeństwem australijskim, które szanuje naszą różnorodność kulturową i uznaje, że pochodzimy z wielu stron świata, ale które wymaga od nas wszystkich stałej lojalności wobec Australii i jej instytucji, wartości i tradycji - lojalności górującej nad jakimkolwiek innym zbiorem wartości w świecie”. Wybitni australijscy uczeni, wśród nich „ojciec wielokulturowości”, wspomniany już prof. Zubrzycki oraz inny socjolog polskiego pochodzenia, prof. Jerzy Smolicz, zastanawiają się dziś, czy jest możliwe utworzenie wielokulturowego narodu australijskiego. W drodze do tego celu państwo australijskie wspomaga organizacyjnie i finansowo instytucje kulturalne, opiekuńcze oraz oświatowe poszczególnych grup etnicznych, a więc i polonijne. Korzystając z tego przyzwolenia oraz wsparcia finansowego

Urodziny

Polsko-Australijskie Towarzystwo Kulturalne w Australii Zachodniej, którego celem jest promocja kultury polskiej i australijskiej, obchodzi w tym roku trzecią rocznicę powstania. Na swoim konczie ma wiele spotkań, w ramach których prezentowane były filmy dokumentalne udostępnione przez TVP, z którą Towarzystwo utrzymuje żywy kontakt. Było także organizatorem koncertów muzyki polskiej, podczas których często występowali polscy artyści mieszkający w Australii Zachodniej. Do sukcesów należy zaliczyć także koncert z okazji Roku Chopinowskiego.

Dla uczczenia trzeciej rocznicy urodzin Towarzystwo zorganizowało 16 lipca br. w salach filharmonii w Perth uroczysty bankiet, połączony z koncertem kameralnym i kolacją. Gośćmi byli m. in. przedstawiciele polskiej placówki dyplomatycznej i lokalnych organizacji polonijnych. W koncercie wzięli udział polscy artyści: Gosia Sławomirska - sopran, Anna Chomicka - altówka, Jacek Sławomirski - skrzypce, Łukasz Sławomirski - fortepian oraz australijscy przyjaciele: Greame Gilling - fortepian i Garry Lee - wibrafon. (jm)



(choć stanowi ono tylko ok. 30 % kosztów, resztę ponoszą rodzice) polskie szkolnictwo w Australii, którego rolę w zachowaniu w tym kraju polskości trudno przecenić, ma się zupełnie dobrze. Jest dziś w Australii ok. 30 szkół polonijnych, w których 110 nauczycieli naucza 1200 dzieci. W większych skupiskach polonijnych jest możliwość kontynuowania nauki języka polskiego i elementów polskiej kultury aż do egzaminu maturalnego. W dwu uniwersytetach - Macquarie w Sydney i Monash w Melbourne - są kursy języka i kultury polskiej na poziomie akademickim.

Dla życia polonijnego w Australii ważne są także media czyli polonijna prasa, radio i telewizja. Wśród programów radiowych zapewne najpopularniejszy jest polski program nadawany przez państwową stację SBS (Special Broadcasting System), jeden z najbardziej spektakularnych przejawów australijskiej polityki wielokulturowości. W SBS pracują dwie redakcje polskie: w Sydney i Melbourne. Codziennie nadawany jest godzinny program w języku polskim, zawierający m.in. telefonicznie przekazywane aktualne informacje z kraju i ze świata, dyskusje ze słuchaczami, przeglądy prasy polskiej i australijskiej, wiadomości kulturalne i naukowe.

W większości skupisk polonijnych działają także społeczne lub prywatne stacje radiowe, z których nadawane są programy polskie. Należą do nich m.in. programy Radio 7, Radio-Pol, Radio 2000 w Sydney, 3ZZZ, Radio Melton 3RIM i Radio 3MDR w Melbourne, Głos Polonii i Radio Kurier w Perth. Są także polskie programy radiowe w Adelajdzie, Brisbane, Townsville i Wollongong.

W ogólnokrajowym programie telewizji SBS w każdą niedzielę o godz. 8: 55 (powtórzenie w poniedziałek, w południe) nadawany jest przygotowany przez TVP SA półgodzinny magazyn informacyjny „OTO POLSKA”. Jest on powszechnie oglądany przez australijskich Polaków i powszechnie dyskutowany.

W ostatnim okresie, m.in. w wyniku działań Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii coraz częściej mówi o potrzebie transmitowania do Australii programu satelitarnej Telewizji Polonia.

W Sydney, Melbourne i Adelajdzie działają lokalne polskie programy telewizyjne na tzw. społecznym kanale 31.

Najważniejsze pisma australijskiej Polonii to istniejące od 51 lat, wydawany w Melbourne „Tygodnik Polski”, dwumiesięcznik „Polish Kurier” z Perth, „Kraj” z Brisbane (pierwsze z pism, które ma również swą wersję internetową), dwa pisma religijne („Tygodnik Katolicki” i „Wiadomości Polonii Adwentystycznej”) oraz kilkadziesiąt biuletynów różnych organizacji, prezentujących niezwykle bogactwo form i treści - od 36 stronicowego miesięcznika „Słowo Polskie”, wydawanego w Adelajdzie pod patronatem Federacji Organizacji Polskich w Południowej Australii po jednostronicowego „Wesołego Wróbelka”, czyli gazetkę jednej z sydneyjskich szkół sobotnich.

W ostatnich latach konkurencją dla czasopism polonijnych stały się australijskie mutacje czasopism krajowych. Są to wydawane jako tygodniki „Express Wieczorny” i „Angora - Przegląd Polski”. Każde z tych pism poświęca ostatnio 2 kolumny na informacje i komentarze na temat życia środowisk polonijnych w Australii.

Jaka przyszłość czeka australijską Polonię? Trzy lata temu debatowano na ten temat na zorganizowanym w Adelajdzie sympozjum „Czego chcemy i dokąd dążymy?”. Oczywiście nie znaleziono cudownej recepty na świetlaną przyszłość. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak powiedzieć, że australijska Polonia ma wielkie szanse na kilkanaście przynajmniej lat dobrego, w miarę spokojnego życia w poczuciu własnej tożsamości etnicznej i w zgodzie z resztą społeczeństwa australijskiego.

Już od dłuższego czasu kierowanie życiem polonijnym przechodzi z rąk pokolenia emigracji żołnierskiej w ręce pokolenia emigracji solidarnościowej. Od niej więc i od instytucji państwowych i społecznych w Polsce zależeć będzie stan dóbr przekazanych przez emigrację niepodległościową oraz czy za kolejnych kilkanaście lat pokolenie dzieci emigracji lat osiemdziesiątych zechce w sztafecie pokoleń przejąć odpowiedzialność i troszczyć się dalej o polskie dziedzictwo w Australii.

tekst i zdjęcia - Zenobiusz Mateja

Sport polonijny w Australii

Choć na pierwszy rzut oka może to się wydać dziwne, jedną z pierwszych decyzji przybywających do Australii w latach 1947-51 polskich imigrantów było tworzenie klubów sportowych. Dla ubogich, na ogół nieznających jeszcze języka, pozbawionych satysfakcji z życia zawodowego młodych ludzi sport był jedną z niewielu dostępnych wówczas form aktywności i wypoczynku. Uprawiany we własnym gronie, lecz przyciągający rosnące grono kibiców sprzyjał integracji polskich społeczności w poszczególnych dzielnicach, miastach i stanach. Tę funkcję sportu polonijnego umacniało wejście w rywalizację z zespołami innych grup etnicznych i australijskimi. W tamtych la-

tach sukcesy sportowe były praktycznie jedyną formą zaznaczenia polskiej obecności w społeczeństwie australijskim, w którym zresztą - dzięki anglosaskim tradycjom i sprzyjającym warunkom atmosferycznym - różne formy aktywności sportowej były zawsze bardzo popularne.

W ten właśnie sposób powstały pierwsze polonijne kluby sportowe w Australii: w 1949 r. „Polonia” w Sydney, a w 1950 - „Polonia” w Melbourne, „Cracovia” w Perth oraz „Polonia” w Adelajdzie, i nieco później „Biały Orzeł” na Tasmanii i jeszcze jedna „Polonia” - w Brisbane.

Wszystkie te kluby zaczynały do piłki nożnej i ta „etniczna” (nie najbar-

dziej popularna wśród rdzennych Australijczyków, uprawiana zaś przede wszystkim przez imigrantów z Europy) dziedzina sportu wyraźnie dominowała w całej historii klubów polonijnych. Z czasem, obok piłki nożnej, tworzono sekcje innych dyscyplin sportowych, m.in. siatkówki, szachową, brydżową, a nawet - jak to było w sydneyjskiej „Polonii” - teatralną. Był to efekt poprawy sytuacji finansowej klubów, które po pewnym okresie „dorobiły się” własnych terenów, boisk i pomieszczeń klubowych, wykorzystywanych nie tylko do celów sportowych, ale też socjalnych, towarzyskich i kulturalnych. Polonijne kluby sportowe przez pewien czas były głównymi centrami życia polonijnego w wielu australijskich miastach.



W pierwszym okresie, tj. do lat sześćdziesiątych, dominował w klubach polonijnych amatorski sport wyczynowy. Sukcesy polskich drużyn piłkarskich w rozgrywkach ligowych i pucharowych przyciągały do klubów także przedstawicieli innych grup etnicznych. Czasami dochodziło do paradoksów, jak w melbourneńskiej „Polonii” w 1960 r., kiedy to w pierwszej drużynie tego polonijnego klubu nie grał żaden Polak. Poprawić sytuację i zagwarantować polonijnym klubom sukcesy miała pomoc z kraju, sprowadzanie starszych, kończących karierę w Polsce zawodników. Przez pewien czas metoda ta była skuteczna, a kluby, które zasilili piłkarze z kraju, odnotowały sukcesy sportowe.

W latach 60. władze emigracyjnych organizacji niepodległościowych postanowiły zmienić charakter polonijnego sportu. O znaczeniu, jakie do tej dziedziny życia przywiązywano świadczy wypowiedź prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, gen. Juliusza Kleeberga, który na melbourneńskim Świątce Sportowym powiedział, iż „Sport i wychowanie fizyczne jest jednym z najważniejszych czynników utrzymania polskości w Australii”. Sport polonijny miał

wieć „otworzyć się” na młodzież polonijną, stać się bardziej masowy. Przez kilkanaście lat - m.in. dzięki współdziałaniu z harcerstwem i polonijnymi nauczycielami - formuła ta sprawdzała się.

Później jednak, kiedy pierwsze pokolenie zawodników i działaczy sportowych osiągnęło wiek więcej niż dojrzały, a drugie pokolenie wyrosło z wieku młodego, sport polonijny zaczął zamierać. Proces ten pogłębiło i to, iż żaden z polonijnych klubów piłkarskich nie był w stanie przystosować się do postępującej komercjalizacji sportu. Większość klubów (m.in. w Sydney, Melbourne, Adelajdzie, Perth i na Tasmanii) przetrwała, stając się jednak przede wszystkim miejscem spotkań towarzyskich, wspólnych (tak popularnych w Australii) pikników i niezobowiązującego uprawiania przez całe rodziny rekreacyjnych form sportu. Istniejące jeszcze gdzieś drużyny piłkarskie są marginesem ich działalności i nie odnoszą już większych sukcesów.

Nowa emigracja napływająca do Australii przez cały okres powojenny, lecz najliczniejsza w latach 80., jak w całym świecie na ogół stroniła od zorganizowania życia polonijnego, w tym od klu-

bów sportowych. Jeśli już była zainteresowana sportem, korzystała z obiektów klubów australijskich, od czasu do czasu organizując się we własnym gronie i w dyscyplinach sportowych ją interesujących. W ten sposób powstały np. kluby narciarskie i tenisowe w Melbourne. W stanie Wiktorii sportowe życie polonijne jest zresztą ciągle najaktywniejsze. Obok najstarszej melbourneńskiej „Polonii” istnieje piłkarski „KS Wisła” w Dandenong, specjalizujący się w koszykówce „KS Lechia” w Melbourne, wspomniane już kluby narciarskie (POL-SKI, Polski Klub Narciarski „Tatry”) oraz wchodzący w skład Federacji Organizacji Polskich w Wiktorii - Polski Centralny Ośrodek Sportowo-Społeczny w Albion. Tam właśnie od 1964 r. w każdy ostatni weekend lutego organizowane jest Święto Sportu Polonijnego. Niegdyś była to polonijna olimpiada, na którą przyjeżdżały reprezentacje nawet z innych stanów. Dziś Święto stało się masową (uczestniczy kilkaset osób) imprezą sportowo-rekreacyjną dla polonijnych mieszkańców Melbourne i okolicy. W końcu lat dziewięćdziesiątych podobne imprezy zaczęto organizować także w Sydney.

Zmysław S. Portowy

Olimpiady: Melbourne 1956 i Sydney 2000

W stosunkowo krótkim odstępie czasu Australia miała szczęście dwukrotnie stać się organizatorem letnich Igrzysk Olimpijskich.

W 1956 roku chyba tylko październikowej odwilży, która oddziaływała i na władze w kraju, i na Polonię, zawdzięczać można pierwsze po wojnie, bardzo udane i serdeczne kontakty australijskiej Polonii z młodymi ludźmi z Polski. A ich dojście do skutku wcale nie było proste ani oczywiste. Międzyorganizacyjne spotkanie zwołane z inicjatywy melbourneńskiego Związku Polaków wyraziło zgodę na wyłonienie Komitetu Olimpijskiego z zadaniem zorganizowania przyjęcia Polskiej Ekipy Olimpijskiej przez Polonię. Od kontaktów z Polską Ekipą postanowiło jednak wstrzymać się Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i Krąg Starszoharcerski. Kilka innych, bardziej radykalnych organizacji, złożyło stanowczy protest przeciwko wykorzystywaniu obiektów polonijnych na spotkania z ekipą przybyłą z kraju. Większość jednak Polaków - nie tylko z Melbourne - cieszyła się sukcesami polskich zawodników: wspaniałym skokiem i złotym medalem Elżbiety Krzesińskiej, srebrnymi Janusza Sidły, szablistów i wielu innymi medalami i osiągnięciami Polaków. Organizowano spotkania ze sportowcami, bale, pikniki, imprezy kulturalne, występy artystów, zapraszano sportowców do domów. Przedstawiciele polskiej ekipy dotarli także do Syd-

ney i Adelajdy. W Sydney polskich sportowców przyjął prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii gen. Juliusz Kleeberg. Na pożegnalnym przyjęciu ówczesny szef ekipy Włodzimierz Reczek powiedział, że w okresie Olimpiady Polonia zdobyła złoty medal za szczerą gościnność i wielką serdeczność dla rodaków z Kraju.

Przygotowania Polonii do Igrzysk Sydney 2000 rozpoczęły się - w jakże odmiennych warunkach - w końcu 1996 roku. W marcu 1997 roku powstała Polonijna Rada Sportowa „Olimpol”. Jej pierwszym prezesem został olimpijczyk, praktyk i teoretyk sportu, autor kilku książek o polonijnym sporcie, dr Roman Korban. Po nim organizacją kierowali p. Elżbieta Dmowska i p. Mick Wykrota. Do samych Igrzysk doprowadzi „Olimpol” p. Bolesław Kwiatkowski, były reprezentant Polski, olimpijczyk z Meksyku i trener koszykówki. Najważniejszym przedsięwzięciem „Olimpolu”, realizowanym przy współpracy polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Australii oraz wielu instytucji krajowych, jest Centrum Kultury i Promocji przy Klubie Polskim w Ashfield, w pół drogi między centrum Sydney i centrum Olimpiady w Homebush (Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” dofinansowało prace remontowe w Klubie, umożliwiające powstanie Centrum, w wysokości 322 tysięcy złotych - przyp. redakcji). Polacy z kraju i polonijni go-

ście z całej Australii oraz reszty świata znajdują tam informacje o udziale i - miejmy nadzieję - sukcesach Polaków podczas Olimpiady oraz będą mieli okazję spotkać się ze sportowcami. Będą tam również wystawy, koncerty i liczne inne atrakcje. Nim jeszcze Olimpiada Sydney 2000 się rozpoczęła, nazwiska dwu Polaków związały się z nią na zawsze. Centralnym obiektem na terenach olimpijskich jest wielki, supernowoczesny „Stadium Australia”, którego głównym budowniczym był polski inżynier, emigrant z 1981 roku, p. Edmund Obiała. Na życze-

nie australijskich środowisk polonijnych został on przez Polski Komitet Olimpijski mianowany attaché olimpijskim.

Drugim jest p. Wojciech Pietranik, absolwent Wyższej Szkoły Plastycznej w Gdańsku, od 1985 mieszkający w Canberze. Jest on pracownikiem artystycznym Australijskiej Mennicy Królewskiej i wygrał konkurs na projekt medali olimpijskich. Według tego projektu mennica wybije 6000 złotych, srebrnych i brązowych medali dla przyszłych zwycięzców Igrzysk.

(Eszetce)

Polacy w Austrii

Emigracja Polaków do Austrii sięga drugiej połowy XIX wieku, czyli okresu zaborów. Nasi rodacy osiągnęli w tamtym czasie znaczną pozycję w stolicy cesarstwa austro-węgierskiego. Urząd kanclerza pełnili Alfred hr. Potocki (1870 - 1871) i Kazimierz hr. Badeni (1895 - 1897), stanowiska ministrów piastowali np. Agenor Gołuchowski senior - spraw wewnętrznych, Agenor Gołuchowski junior - spraw zagranicznych, a Kazimierz Chłędowski, Wojciech Dzieduszycki i Juliusz Twardowski - ministra dla Galicji. Duże znaczenie miała działalność parlamentarna Franciszka Smolki, w latach 1881 - 1893 prezydenta Izby Poselskiej austriackiej Rady Państwa. W historii parlamentu austriackiego na trwałe zapisało się liczne grono posłów z Galicji i Śląska Cieszyńskiego. W Wiedniu bywali bądź tworzyli sławni Polacy - Józef Maksymilian Ossoliński, Fryderyk Chopin, Maria Konopnicka, Henryk Sienkiewicz, Artur Grottger, Wojciech Kossak, Ignacy Paderewski, Jan Kiepura.

W 1801 r. podjęto starania o stworzenie w stolicy polskiego duszpasterstwa - książę Stanisław Poniatowski, Kazimierz Rzewuski i Antoni Lanckoroński skierowali do cesarza Franciszka II podanie z prośbą o ustanowienie duszpasterstwa obrządku łacińskiego w języku polskim. Pierwszym polskim kapłanem został o. Amancjusz Riemer, bernardyn z Przeworska. Pełnił on tę funkcję przez 25 lat - ale nie postarał się o następcę. W latach 1829 - 1835 polskie kazania głosili księża i klerycy studiujący na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Wiedeńskiego. Przełom nastąpił w 1841 r., gdy decyzją cesarza Ferdynanda wprowadzono na stałe polskie duszpasterstwo w Wiedniu. Nabożeństwa odprawiano w najstarszej świątyni stolicy p. w. św. Ruprechta. Dopiero od 1897 r. Polacy mają własny kościół przy Rennwegu, a od 1906 r. kaplicą Sobieskiego, urządzonej przez naszych rodaków w kościele św. Józefa na Kahlenbergu, opiekują się polscy ojcowie zmartwychwstańcy.

W 1864 r. powstała pierwsza polska organizacja - studenckie „Ognisko”. Potem, w 1879, charytatywne Przytulisko Polskie, w 1884 - szkoła polska, w 1899 - Stowarzyszenie Chrześcijańskich Robotników i Robotnic „Ojczyzna” oraz dwie najbardziej wpływowe i znane organizacje - powstałe w 1887 r. Towarzystwo „Biblioteka Polska” oraz działająca od 1894 r. „Strzecha”, pierwotnie Polskie Stowarzyszenie, a dziś Związek Polaków. W 1908 r. Polonia kupiła ze swych składek budynek przy Boerhavegasse 25, w III dzielnicy Wiednia, który został nazwany Domem Polskim i w którym obecnie mają swe lokale organizacje polonijne.

Na początku XX wieku liczba Polaków w Austrii znacznie wzrosła i w 1914 r. w samym tylko Wiedniu sięgnęła



Kościół św. Józefa na Kahlenbergu

fot. A. Panecka

około 50 tysięcy. Po zakończeniu I wojny światowej wielu z nich wróciło do niepodległej już ojczyzny, ale w Austrii nadal funkcjonowały polskie organizacje, działały szkoła i biblioteka, rozwinęło się harcerstwo. W czasie drugiej z wojen światowych znalazły się tam tysiące robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych. W Mauthausen i jego filiach zamordowano ponad 60 tysięcy obywateli polskich - była to blisko połowa wszystkich ofiar obozu. We włączonej do III Rzeszy Austrii zakazano jakiejkolwiek polskiej działalności, a nawet używania języka polskiego. Rok 1945 zastał w tym kraju, szczególnie w zachodnich strefach okupacyjnych, około 100 tysięcy Polaków. Stąd kilka następnych lat stanowiło okres niezwyklej polskiej aktywności - wychodziły liczne czasopisma, działało kilkadziesiąt polskich księży i setki harcerzy, uczniów polskich szkół liczyło się w tysiące. Jednak do 1950 r. większość naszych rodaków wyemigrowała dalej lub wróciła do kraju. Pod koniec lat sześćdziesiątych w Austrii żyło ich już tylko około 6 tysięcy. Ponowna fala emigracji ekonomicznej i politycznej z Polski zaczęła wzrastać w 1968 r., a wprowadzony w 1981 r. stan wojenny zastał w Austrii ponad 30 tysięcy Polaków.



Polonia, zasilona dużą liczbą emigrantów, wśród których byli działacze „Solidarności”, zatroskana trudną sytuacją polityczną w Kraju i wsparta duchowo wizytą Ojca Świętego Jana Pawła II w 1983 r., zaktywizowała swą działalność. Na terenie całego kraju powstało wiele nowych organizacji i punktów duszpasterskich.

Obecnie w Austrii żyje około 40 tysięcy Polaków, z czego większość w Wiedniu i jego okolicach. Są także duże środowiska w Linzu, Grazu, Wiener Neustadt, Salzburgu, Innsbrucku, Klagenfurcie i Bregencji. W Wiedniu działa Szkoła Polska im. Jana III Sobieskiego, a języka polskiego można się także uczyć w kilkunastu szkołach austriackich. Działają polskie kluby, biblioteki, wideoteki, księgarnie, restauracje, sklepy, a także coraz więcej polskich i polsko-austriackich firm. Żyje też i pracuje wielu absolwentów polskich wyższych uczelni, artystów i cennionych fachowców różnych zawodów, w tym blisko 300 lekarzy, tuzin księży oraz wiele setek inżynierów, techników i pielęgniarek. Miejscem spotkań Polaków pozostaje kościół przy Rennwegu, do którego co niedzielę przybywa około 6 tysięcy wiernych, z przyległym Centrum Duszpasterskim „Emaus”, podobnie jak blisko 20 ośrodków duszpasterskich we wszystkich rejonach Austrii. Co roku we wrześniu organizowane są Dni Polskie. W całym kraju działa ponad 30 organizacji polonijnych, z których większość jest zrzeszona w powstałym w 1993 r. Forum Polonii - Wspólnocie Polskich Organizacji w Austrii. (IBP)



fot. A. Panecka

Duszpasterstwo w Austrii

Wszędzie, gdzie osiedlali się emigranci polscy, wraz z nimi przybywali kapłani i powstawały duszpasterstwa, które były i pozostają najważniejszymi ośrodkami życia polonijnego. Tak też było i w Austrii. Już w 1801 roku działacze laicku polskiego w Wiedniu podjęli starania o stworzenie polskojęzycznej posługi religijnej dla coraz liczniejszej emigracji. Pierwszym polskim kapłanem był bernardyn z Przeworska, Ojciec Amancjusz Józef Riemer. Od tego czasu trwa, z kilkunastoletnią przerwą - od 1835 do 1941 roku - polskie duszpasterstwo w Austrii. Od 1946 roku używany był Polakom niewielki, lecz najstarszy w mieście kościół św. Ruprechta. W roku 1897 duszpasterstwo dla kilkudziesięciotysięcznej już wtedy Polonii przeniosło się do zamkniętego wówczas kościoła św. Krzyża, który wyremontowany staraniem Polaków służy im do dnia dzisiejszego. Opiekę duchową przejęli na stałe księża z utworzonego w połowie XIX wieku, specjalnie dla potrzeb Polonii, zgromadzenia Zmartwychwstańców. W roku 1906 Polakom i ich kapłanom przekazano również kościół na Kahlenbergu, gdzie król Jan III Sobie-

ski, w dniu Odsieczy Wiedeńskiej, prosił Pana Boga o zwycięstwo nad Turkami. To sanktuarium narodowe i urządzona tam w roku 1933 - 250 lat po bitwie - kaplica Sobieskiego jest celem pielgrzymek prawie wszystkich rodaków, a także wielu polityków i turystów z całego świata, przyjeżdżających do Austrii. Tam też w rocznicę odsieczy inaugurowane są Dni Polskie. Kościół Polski przy Rennwegu stał się nie tylko centrum religijnym. Tutaj, w tych murach, od 100 lat splatają się nici życia austriackiej Polonii. A Polonia ta przeżywa chwile blasku - by wspomnieć choćby tylko jej olbrzymie znaczenie w monarchii na przełomie stuleci, obchody 250 - lecia czy 300 - lecia Odsieczy Wiedeńskiej, sławę Jana Kiepury, który podbił to miasto, zafascynowanie świata i Austrii ideą polskiej „Solidarności” i osobą polskiego Papieża, który odwiedził obie polskie świątynie w roku 1983, czy zupełnie ostatnio, trochę może zazdrosne zainteresowanie postępowym gospodarczym naszego kraju, nowego partnera, a może konkurenta w tej części Europy. Były też i lata trudne, nawet tragiczne - wojny światowe, wielosetysięczne masy uchodźców czy

robotników przymusowych, terror hitlerowski czy wreszcie głębokie podziały utrwalone w czasach komunizmu. Doskonale pamiętamy bezdomność emigracji stanu wojennego czy beznadziejną determinację tysięcy rodaków usiłujących uciec przed kryzysem ekonomicznym w Polsce. W każdej z tych sytuacji otwierały się drzwi polskiego kościoła i wyciągały pomocne dłonie. I tak jest do dziś, gdy dziesiątki tysięcy szylingów i bardzo wiele darów rzeczowych zbieranych jest co roku dla potrzebujących w Polsce i na Wschodzie. Nie jest też przypadkiem, że inicjatywa zjednoczenia Polonii zrealizowana została właśnie tutaj, w Polskim Duszpasterstwie przy Rennwegu. W 1990 roku spotkali się przedstawiciele najważniejszych środowisk i stworzyli „polski parlament” - Forum Polonii w Austrii. W roku 1997 Polonia austriacka przeżyła niezwykle uroczyste 100 - lecie swego Kościoła z udziałem kapłanów i liderów laicku z wszystkich krajów Europy. Centralnej uroczystości przewodniczyli Prymas Polski i Arcybiskup Wiednia.

Obecnie Kościół Polski i przyległe do niego Centrum Duszpasterskie „Emaus” jest największym ośrodkiem polskim w Austrii, co zrozumiałe, bo ogromna większość Polonii to katolicy.

W polskich Mszach świętych, w niedzielę, uczestniczy około 8 - 10 tys. Polaków, z tego 6 - 7 tys. jest w Kościele Polskim w Wiedniu. W sumie w austriackiej stolicy odprawianych jest siedem Mszy świętych w polskim Kościele i dwie w sąsiednim sióstr Salezjanek. Kościół przy Rennwegu, Polski Kościół, jest najliczniej odwiedzana świątynią w Wiedniu. Co dziesiąty wierny uczestniczący w niedzielnej Mszy św. w mieście, w którym jest ponad 100 kościołów, przychodzi właśnie tutaj. W Austrii funkcjonuje ponadto 18 ośrodków polskiego duszpasterstwa, zlokalizowanych we wszystkich jej częściach - Wr. Neustadt i M. Gugging (Dolna Austria), Gols (Burgenland), Salzburg i Linz (Górna Austria) oraz Graz, Klagenfurt, Innsbruck i Dornbirn. Ponadto kilka tysięcy osób korzysta z duszpasterstwa polskiego przy szczególnych okazjach jak rekolekcje i spowiedź po polsku, jasełka czy święcenie pokarmów. Wiele dzieci przyjmuje sakramenty - chrztu 60 - 90 rocznie, pierwszej komunii św. 50 - 70 rocznie, czy bierzmowania - 50 do 80 co drugi rok, podczas gdy na co dzień one i ich rodziny pozostają w parafiach austriackich. Kursy przedmałżeńskie kończy co roku 250 - 400 osób. Duszpasterzem Polaków w Austrii jest obecnie ks. rektor Herbert Sojka CR, któremu w opiece nad rodakami pomaga 14 księży. Ponadto w parafiach austriackich na terenie całego kraju, głównie jednak w okolicach Wiednia i Linzu, pracuje ponad 300 polskich kapłanów. Przewodniczącym utworzonej i zatwierdzonej przez władze kościelne Wspólnoty Polskich księży jest ks. Antoni Ulaczyk. Kapłanom w ich zadaniach duszpasterskich pomaga kilkaset osób z laikatu, z którego wywodzi się większość działaczy polonijnych. Na czele Rady Laikatu stoją Mateusz Synowiec i Andrzej Pawłowski. Duszpasterstwo polskie, będące prawnie częścią kościoła austriackiego podległą tutejszym biskupom, utrzymuje, za ich zgodą, szerokie i bliskie kontakty z Kościołem w Polsce. Z Ojczyzny bowiem wynieśliśmy tradycję religijną i formy duszpasterstwa. Jest to oczywiste, szczególnie w Austrii, gdzie Polonia jest bardzo młoda, a odległość od kraju niewielka. Ponadto w kraju Polonia ma swojego duchowego opiekuna w osobie Księdza Prymasa i jego Delegata ds. Polonii abp Szczepana Wesołego w Rzymie.

Duszpasterze austriackiej Polonii i przedstawiciele laikatu należą do Polskiej Rady Duszpasterskiej Europy Zachodniej i poprzez nią utrzymują żywe kontakty z rodakami i ich katolickimi wspólnotami w innych krajach.

Obok Mszy świętych, które na Rennwegu i Kahlenbergu odprawiane są także w dni powszednie, w duszpasterstwie polskim, szczególnie w Wiedniu, rozwinęły się inne, bardzo różnorodne formy ewangelizacji. Niezwykle popularna jest Nowenna do M. B. Nieustającej Pomocy, na którą przychodzi, w każdą środę, około 500 osób. Na każdej nowennie przekazywany jest kolejnej rodzinie obraz MBNP, który od 1994 roku bez



Ks. Herbert Sojka

Fot. A. Panecka

przerwy, pielgrzymuje po polskich domach. Bardzo dużo wiernych jest na Gorzkich Żalach czy Drodze Krzyżowej w Wielkim Poście, na nabożeństwie majowym czy czerwcowym i na odprawianym wspólnie co tydzień różańcu i koronce do Miłosierdzia Bożego. Od 16 lat co miesiąc 100 - 200 rodaków odbywa pieszą pielgrzymkę do odległej o 15 km od stolicy grotty M. B. z Lourdes w Maria Gugging. Od 1981 roku każdego 16 - go dnia miesiąca odprawiana jest specjalna Msza święta w intencji Ojca Świętego. W Wiedniu, Linzu i Grazu prowadzona jest regularnie katecheza po polsku dla dzieci, a w Wiedniu także dla młodzieży. Niestety, tylko co dziesiąte dziecko polskie w Wiedniu i co trzecie przychodzące do polskiego Kościoła uczestniczy w nauce religii. Inaczej ma się sytuacja w klasach I - komunijnych, gdzie znaczna część dzieci przychodzi na

Rennweg. Prawie w każdy poniedziałek odbywa się przygotowanie przedmałżeńskie. Duszpasterstwo obejmuje swą opieką także wielu chorych i starszych w domach i szpitalach. Prowadzi spotkania dla małżeństw niesakramentalnych, a nawet trafia do rodaków przebywających w więzieniach. Nie brakuje też tradycyjnej kołody duszpasterskiej i innych niezwykle bogatych i pięknych form liturgii i paraliturgii przyniesionych przez pobożnych Polaków z różnych regionów ojczyznoego kraju. Na szczególną uwagę zasługuje działalność grup duszpasterskich w środowisku wiedeńskim. Rycerze Niepokalanej istnieją od 1982 roku. Jest ich obecnie około 70. Realizują zobowiązania formacyjne i żywo włączają się w życie całego duszpasterstwa. To właśnie oni prowadzą od 16 lat comiesięczne pielgrzymki piesze do Maria Gugging. W ubiegłym roku uczestniczyło w nich około 1500 osób, w tym wielu Austriaków. Rycerze organizują też pielgrzymki do innych sanktuariów w Europie. Z tego środowiska wywodzi się grupa aktywnych przyjaciół Radia Maryja. Przewodniczącym jest Stanisław Salamon. Grupa Młodych Rycerzy Niepokalanej liczy około 30 dzieci, głównie z młodszych klas. Nasi Rycerze organizują tradycyjną akademię Maryjną - 8 grudnia i przedstawienie na zakończenie roku szkolnego. W każdą środę wiadać ich, wraz ze starszymi, na nowennie do M. B. Nieustającej Pomocy, a w każdą третią niedzielę na pielgrzymce. Co miesiąc wydają pisemko „Niepokalana oto nasza idea”. Opiekują się nimi Aleksandra i Claudia Lapka. Do Koła Ministranckiego należą, po złożeniu przyrzeczenia i uroczystym przyjęciu, chłopcy w wieku szkolnym, młodzież oraz dorośli mężczyźni. Poza służbą liturgiczną i zbiórkami do niej przygotowującymi, spotykają się często na wycieczkach lub zawodach sportowych. Przewodniczącym jest Robert Kojro. Wspólnota Ewangelizacyjna Chrystusa Zmartwychwstałego „Emaus” skupiająca kilkadziesiąt, w większości młodych lecz głęboko religijnie zaangażowanych osób, spotyka się co najmniej raz w tygodniu. Wyrosła ona z działającej od 1990 roku grupy modlitewnej. To tutaj dojrzewają ludzie, których spotykamy później przy okazji przeróżnych inicjatyw całego duszpasterstwa. Modlą się, rozmawiają, wyjeżdżają na spotkania młodych z Ojcem



Świątym i na spotkanie Taize. Jako grupa ewangelizująca byli na festiwalu rockowym w Jarocinie. Utworzyli zespół muzyczny, który w każdą niedzielę gra na wieczornej Mszy świętej. Organizują wiele imprez dla młodych, zabawy i wycieczki, ale także opiekę nad chorymi, starszymi i potrzebującymi. Animatorką wspólnoty jest Lila Kutyba. Od 1992 roku działają Kręgi Rodzin Ruchu Kościoła Domowego, w których ponad 30 rodzin pogłębia swoją wiarę i miłość przez comiesięczne spotkania i realizację zobowiązań. Wiele osób bierze udział w rekolekcjach i oazach w Austrii i Polsce. Twórcami i animatorami kręgów są Małgorzata i Andrzej Michalscy. Rodziny żywo angażują się w życie Polonii wiedeńskiej, od kilku lat organizują, w ramach Dni Polskich, ciekawe kiermasze książek oraz spotkania z przedstawicielami polskiej elity katolickiej. Wielokrotnie przeprowadzali zbiórki charytatywne dla potrzebujących w Polsce i na Wschodzie. W 1999 roku na bazie kręgów rodzin stworzone zostało i oficjalnie zarejestrowane Stowarzyszenie Polskich Rodzin Katolickich w Austrii, na którego czele stanęli Andrzej Pawłowski i Piotr Leśniak. Stowarzyszenie nawiązało szeroką

współpracę z katolickim środowiskami zarówno w kraju jak wśród Polonii. W Wiedniu istnieje także tzw., żywy różaniec, który tworzą Służebnice Królowej Różańca Świętego. Jest ich ponad 30. Niezwykle aktywne siostry różańcowe organizują co miesiąc swoje nabożeństwo, a po nim spotkania towarzyskie, na które zapraszają wszystkich seniorów. Nie brakuje tam nigdy domowego ciasta, dobrego filmu czy muzyki. Bardzo potrzebną inicjatywą są spotkania duszpasterskie dla alkoholików i działający regularnie od jesieni 1994 roku Klub AA (anonimowych alkoholików). W spotkaniach, obok uzależnionych, uczestniczą także ich rodziny. W centrum duszpasterskim „Emaus”, obok grup ściśle duszpasterskich, ma swą siedzibę także kilka polskich organizacji wyrosłych przy kościele: szczep harcerski „Polanie”, chór „Gaudete”, Związek Podhalań „Zakopane” i jego zespół góralski, Stowarzyszenie Polskich Rodzin Katolickich i Młodzieży Katolickiej i Towarzystwo dla Odnowy Kościoła Polskiego przy Rennwegu. O lokalne filie Duszpasterstwa Polonii oparte są także wszystkie pozawiedeńskie, zorganizowane środowiska polskie. Niezwykle

jest, jak widać, bogactwo treści i form, jakie wnosi Duszpasterstwo w życie religijne, kulturalne i społeczne Polaków w Austrii. Do tego bogactwa i religijności nawiązał arcybiskup Wiednia Christoph Schonborn podczas Mszy świętej z okazji 100 - lecia naszego Duszpasterstwa. Zapraszając i przyjmując Polaków do austriackiego Kościoła apelował o zachowanie tych wspaniałych tradycji żywej wiary przywiezionych z kraju, który „podarował światu Ojca Świętego”. Uznaniem dla tej żywej wiary było wyznaczenie właśnie polskiej świątyni, jako jednej z pięciu w Austrii, na przyjęcie odwiedzającej ten kraj, w ubiegłym roku, figury MB z Nazaretu. Mówiąc o Duszpasterstwie Polonii, nie można pominąć roli, jaką pełni ono w tutejszym społeczeństwie. Poprzez polskie duszpasterstwa skutecznie może przepływać pomoc duchowa, silnego żywą wiarą Polskiego Kościoła, dla bardziej zagrożonych Kościołów zachodnich. I w tym niech się realizują słowa Ojca Świętego, które powiedział do tutejszej Polonii w roku 1998: „a gdy już tutaj, za tym Sobieskim przyjechaliście, to go przynajmniej naśladowajcie”.

Andrzej Pawłowski

Polonijna wiosna w Austrii

Koniec wiosny obfitował tego roku w Austrii zjazdami Polonii. Zapoczątkował je II Zlot Polonii Austriackiej Linz 2000, zorganizowany przez Związek Polaków w Górnej Austrii. Historia ZPwGA przypomina nieco historię kościołów chrześcijańskich. Każdy z nich, zarówno katolicki jak prawosławny czy protestancki twierdzi, iż jest tym pierwotnym, jedynie słusznym, pozostałe natomiast zboczyły po prostu z doktrynalnej ścieżki.

W roku 1945, natychmiast po wyzwoleniu, grupa byłych więźniów obozów koncentracyjnych oraz robotników przymusowych w Austrii, którzy na skutek zaistniałych w Polsce przemian politycznych po drugiej wojnie światowej zdecydowali się raczej pozostać na obczyźnie niż wracać do kraju pod panowaniem systemu, który nie odpowiadał ich poglądom, założyła Związek Polaków w Austrii czyli krótko ZPA, z siedzibą w Wiedniu. W Górnej Austrii posiadał on aż cztery delegatury. Z biegiem lat bojowy duch polskich wiedeńczyków zaczął tracić powoli na sile, aż doszedł w końcu do punktu, w którym ZPA zbliżył się jakby do akceptacji rzeczywistości politycznej Europy Wschodniej. Delegatury Górnej Austrii uznały to za zdradę ideałów, oderwały się od ZPA i w 1974 r. utworzyły autonomiczny Związek Polaków w Górnej Austrii (ZPwGA) z siedzibą w Linzu. Jak twierdzi obecny prezes Krzysztof Sierański, Związek uważa się za bezpośredniego kontynuatora organizacji powstałej w 1945 r. i ma prawo twierdzić, że istnieje ponad 50 lat. „Od początku swej działalności ZPwGA deklarował się jako organizacja apolityczna, niemniej jednak prolonidzińska orientacja i nieuznawa-



Wycieczka statkiem po jeziorze Ossiach

nie władz PRL, czego wyrazem było nieutrzymywanie kontaktów z ambasadą PRL w Wiedniu i organizacjami polonijnymi o zabarwieniu komunistycznym, należały do istotnych elementów działalności Związku” - czytamy w folderze programowym. „ZPwGA utrzymywał kontakty z Rządem Emigracyjnym w Londynie i regularnie przekazywał pieniądze do Skarbu Narodowego. Jako organizacja Niepodległościowa wszedł do Wspólnoty Organizacji Polonijnych Wolnego Świata. Od 7 marca 1998 r. jest aktywnym członkiem Forum Polonii - wspólnoty organizacji polonijnych w Austrii. W dotychczasowej jego historii należy podkreślić zasługi Witolda Poszytka, długoletniego prezesa i człowieka bardzo oddanego pracy społecznej, niestety przedwcześnie zmarłego oraz Franciszka Sikory, więźnia Oświęcimia, Mauthausen i Ebensee, przez kilkanaście lat prezesa, a obecnie prezesa honorowego.”



Pierwszy z prawej - J. Konarzewski, prezes Klubu "Sobieski" z Klagenfurtu

Wieloletnia działalność osłabia siły najwytrwalszego społecznika, Związek stracił z czasem na atrakcyjności. Akurat w czasie, gdy do Austrii dotarła nowa fala uciekinierów politycznych, przede wszystkim z Polski. Okazała się ona dla niego ożywczym zastrzykiem. Zasilając szeregi Związku, młoda generacja zdynamizowała natychmiast jego działalność. W grudniu 1998 doszło do wyboru nowych władz i życie od razu potoczyło się wartko. Związek wysunął się na czoło organizacji polonijnych w Austrii. „Organizujemy około trzydziestu imprez rocznie”, mówi Krzysztof Sierański, „i to w różnych dziedzinach. Na przykład imprezy dla dzieci albo imprezy turystyczno-sportowe. Pielegnujemy katolickie tradycje kultury polskiej, takie jak opłatek czy święcone. Organizujemy wycieczki oraz bardziej lub mniej oficjalne spotkania polonijne. Czasem są to po prostu spotkania towarzyskie, niesłychanie sprzyjające zacieśnianiu więzów. Raz w miesiącu mamy wieczorek taneczny, dla młodych dyskotekę. Organizujemy koncerty prezentujące dorobek kultury polskiej, prelekcje i spotkania z przedstawicielami kultury, nauki, polityki, ekonomii i sportu. Prowadzimy bibliotekę i klub polski jako miejsce spotkań Polaków. Cztery razy w roku wydajemy „Wiadomości Polonijne”, w nakładzie 550 szt. i rozsyłamy je do znanych nam rodaków, przede wszystkim na terenie Górnej Austrii, gdzie żyje ponad 450 zaprzyjaźnionych z nami rodzin polskiego pochodzenia oraz do innych organizacji polonijnych. Ilość Polaków zamieszkujących Górną Austrię ocenia się na 3 do 4 tys., naszą ambicją jest przyciągnięcie ich do wspólnoty. ZPwGA bardzo ściśle współpracuje z Duszpasterstwem Polonijnym. Obydwa te związki znakomicie się uzupełniają.”

Prężna organizacja wymaga nakładów finansowych, dla pozyskania sponsorów prezes nie waha się korzystać z osobistych powiązań i znajomości. „Zarówno w Polsce, jak i w Austrii studiowałem teologię oraz filozofię, a obecnie pracuję w izbie finansowej diecezji Linz. Największe dotacje otrzymujemy oczywiście ze strony Kościoła katolickiego, Caritasu i Duszpasterstwa Obco-krajowców” - mówi Krzysztof Sierański. „Działalność nasza dostrzegana jest nie tylko w rejonie Górnej Austrii, lecz także poza jej granicami, dużą pomoc otrzymujemy od „Wspólnoty Polskiej”. Niedawno dokonaliśmy otwarcia nowego Centrum Polonijnego, jednostki całkowicie społecznej, nie dotowanej

ani przez Polskę ani przez Austrię (Stowarzyszenie „Wspólnota Polska przekazało dofinansowanie na wyposażenie Centrum - przyp. red.). Budżet Centrum przekracza budżet Związku ostatnich 10 lat. Zdobyć środków finansowych na utrzymanie tego ośrodka nie jest sprawą prostą, lecz mam nadzieję, że przy pomocy dotychczasowych sponsorów oraz około 200 członków ZPwGA, zdołamy go utrzymać.”

Związek otwarty jest dla wszystkich Polaków niezależnie od pochodzenia, stopnia wykształcenia czy wykonywanego zawodu. Może dlatego właśnie działa niezwykle efektywnie. Właśnie w Linzu, w Centrum Polonijnym przy Friedhofstraße 25, odbył się w dniach 26 - 28 maja br. II Zlot Polonii Austriackiej 2000, pod patronatem honorowym ks. abp dr Szczepana Wesołego - biskupa polonijnego, ks. bp dr h. c. Maksymiliana Aichema - biskupa Linzu,



Śladami polskości w Karyntii



prof. dr hab. Ireny Lipowicz - ambasadora RP w Austrii, dr Józefa Pühningera - starosty Górnej Austrii, dr Franciszka Dobuscha - burmistrza Linzu, Franciszka Sikory - honorowego prezesa ZPWGA, inż. Piotra Radowskiego - prezesa Forum Polonii oraz prof. dr Andrzeja Stelmachowskiego - prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Jako przedstawiciel Ambasady RP w Austrii obecny był na zlocie konsul ds. polonijnych, I Sekretarz Stanisław Szypulski.

Na wstępie przedstawiciele Polonii mieli okazję popatrzeć i posłuchać, z czego śmieją się aktualnie ich rodacy w kraju, i o dziwo, wszystkie puenty kabaretu „Ciach” z Zielonej Góry były dla austriackiego widza czytelne. Sobota 27 maja przebiegała pod hasłem: Sport! Polonijne mistrzostwa Austrii w piłce nożnej o puchar Ambasadora RP! I, ma się rozumieć, kielbaski z rusztu. Panowie - no, może nie wszyscy - kopali zawzięcie piłkę, podczas gdy panie w towarzystwie tych, którzy kopać... powiedzmy... nie mieli ochoty, pociągały piwko z beczki i raczyły podniebienia opiekаныmi smakowitościami. Drużyn walczyło ze sobą aż sześć i nawet burza, która rozpetęła się całkiem nieoczekiwanie, nie zdołała ostudzić zapałów. W rezultacie Puchar Ambasadora zdobyła drużyna „Polonez” z Wiednia, II miejsce: „Orzeł - Kurzewski”, III miejsce: „Polonia - Górna Austria”, IV miejsce: „Sojka - Wiedeń”, V miejsce: Graz, VI miejsce: Klagenfurt. W turnieju piłki nożnej gościnnie wziął udział znany zawodnik polski Adam Kensity, obecnie czołowy trener austriackich piłkarzy w Górnej Austrii. Trenera „Polonii” natomiast, Edwarda Kolszyckiego, najbardziej cieszy fakt, że do jego drużyny coraz częściej zagląda polska młodzież. Idą tam w ślad za ojcami, co w emigracyjnych realiach nie jest wcale rzeczą oczywistą. Ci młodzi muszą bowiem przede wszystkim walczyć o zdobycie pozycji wśród obcego sobie społeczeństwa, a kultywowanie tradycji narodowych nie tylko nie pomaga, a czasem wręcz utrudnia tę walkę.

Po sportowych emocjach, wieczorem... panie jakby nie te same; suknie, fryzury, makijaż! A panowie? Włos wypomadowany, pantofle na glanc! Aż trudno rozpoznać tych z boiska. No i „Hej sokoly!”, niemalże do rana. Trudno ocenić, ile nowych przyjaźni nawiązało się tej nocy, w każdym razie była to płaszczyzna nowych kontaktów, które być może przetrwają wiele lat.

Prezes A. Urbariski z młodzieżą polonijną

Na osobną wzmiankę zasługuje praca dr Janiny Osses-Frei, która zadała sobie trud przygotowania prelekcji na temat śladów polskości w Austrii i na zakończenie zlotu poprowadziła zebranych, a chętnych, akurat tymi śladami. Nie każdy śmiertelnik wie przecież, że właśnie w Linzu pochowana jest polska księżniczka, Cymbarka, żona Fryderyka I Habsburga..

Na zlot w Linzu przybyły liczne grupy polonijne przede wszystkim z Karyntii i Styrii. Świadczy to niewątpliwie o dobrze zorganizowanym życiu Polonii na tych terenach. Potwierdzenie tego faktu stanowił następny, nie tyle oficjalny, co familiarny zjazd rodaków na górze Gerlitz (1900 m n.p.m.), zwanej przez polskie koła Górą Sobieskiego, a zorganizowany przez klub „Sobieski” w Klagenfurcie (Karyntia) pod prezesurą Jerzego Konarzewskiego. Od 10 do 12 czerwca br. liczna grupa polonijna wypoczywała, bawiła się, pływała statkiem po leżącym u stóp góry jeziorze Ossiach, a w miasteczku o tej samej nazwie szukała polskich śladów. Nie bez powodu, ponieważ właśnie w Ossiach znajduje się grób polskiego króla Bolesława Śmiałego, który miał pecha ściąć mieczem niewłaściwą głowę, za co przyszło mu potem ciężko pokutować.

„Klub „Sobieski” liczy 74 członków”, mówi Jerzy Konarzewski. Jeśli przyjąć, że w Karyntii mieszka około 300 Polaków, jest to najwyższy wskaźnik procentowy wewnętrznej integracji polonijnej w Austrii. Zjawisko tym bardziej godne uwagi, że są oni rozproszeni po całej republice, co nie przeszkadza, jak widać, rozumieniu wspólnych interesów. Klub jest stosunkowo młody, powstał dopiero w 1996 roku, działa jednak dynamicznie, podtrzymując polskie tradycje narodowe. Członkowie dzielą się wspólnie opłatkiem i jaskiem wielkanocnym - jak wielkie ma to znaczenie, wie tylko ten, komu przyszło żyć z dala od rodziny i kraju - wspólnie obtańcowują „andrzejki”, prowadzą naukę języka polskiego dla dzieci i młodzieży. Jerzy Konarzewski widzi egzystencję klubu nie tylko w ramach imprez i spotkań oficjalnych. „Pomagamy sobie wzajemnie, zwyczajnie, jak człowiek człowiekowi. Jeśli trzeba, robi się zbiórkę odzieży, albo pieniędzy. Czasem ktoś traci pracę lub mieszkanie; nie można zostawić człowieka na pastwę losu, bądź co bądź, rodak”. Nie bez znaczenia wydaje się fakt, iż Pierwszy Zlot Polonii Austriackiej, jaki miał miejsce w roku ubiegłym, odbył się właśnie w Klagenfurcie, z inicjatywy klubu „Sobieski”.





Oficjalny czy nieoficjalny zjazd nie byłby doskonały, gdyby nie uświetnił go jakiś mecz. Na Górze Sobieskiego klagenfurtczy starli się w pilce ręcznej z gracjanami. Zwyciężył Graz (Styria), wobec czego Andrzej Urbański, prezes „Forum Polskiego” w Grazu, strzelił butelką szampana, a że pora była już późna, Styryjczycy zaczęli się żegnać. I byłoby może odjechali, gdyby ktoś nagle nie włączył adapteru. Najpierw zaczęły tańczyć dzieci, a potem Urbański zdjął kurtkę. Odjechali dopiero o świcie i wcale nie odspiać, jakby się mogło wydawać, nazajutrz bowiem rozpoczynał się w Grazu, zorganizowany przez „Forum” Andrzeja Urbańskiego, polski festiwal jazzowy. Festiwal z udziałem Marka Karewicza oraz zespołów: „High Bred Jazz Trio”, „Jarosław Śmietana Quartet”, „Tomasz Stańko Quartet” i „Dark Horns” trwał od 13 do 16 czerwca br. i cieszył się wielkim powodzeniem. Jest to sukces nie tylko polskich muzyków lecz także zwartej, dobrze zorganizowanej grupy polonijnej. Podobnie jak Klub „Sobieski” skupia ona rozproszonych po Styrii Polaków i pielęgnuje tradycje kultury polskiej.

Sądząc po tegorocznej wiosnie, przyszłość polonijnego życia w Austrii zapowiada się raczej optymistycznie.

tekst i zdjęcia - Ewa Dan



Grób Bolesława Śmiałego w Ossiech

Grodno - stolica festiwali

W dniach 2-3 czerwca br. w Grodnie odbył się III Republikański Festiwal Kultur Narodowościowych, w którym wzięło udział ponad tysiąc osób, przedstawiciele 16 spośród ok. 70 wspólnot narodowych zamieszkujących Białoruś. Na trasie przemarszu ulicami miasta Grodnie serdecznie witali kwiatami uczestników festiwalu. Na centralnym placu Grodna otwarcia festiwalu dokonał Dawyd Haradzieński, kasztelan Grodna. W programie festiwalu znalazło się wiele imprez, m.in. podwórkę narodowościowe i konkursy dowcipów, znane z poprzednich festiwali. Każda wspólnota urządziła swoje podwórkę według własnych tradycji, wabiąc gości różnymi atrakcjami i daniami kuchni ludowej. Nowością było założenie Skweru Przyjaźni, na którym posadzono drzewa symbolizujące historyczne odczyty wspólnot narodowych.

W pochodzie przedstawiciele mniejszości narodowych wyróżniali się Polacy, niosący sztandary Związku Polaków na Białorusi. Towarzyszyły im zespoły folklorystyczne i Młodzieżowa Orkiestra Dęta Szkoły Muzycznej w Porzeczcu pod kierunkiem Walerego Saka, która po raz kolejny udowodniła, że jest najlepsza na Grodzieńszczyźnie. Drugiego dnia festiwalu pochod ZPB wyruszył spod własnej siedziby na Plac Sowiecki w towarzystwie Orkiestry Dętej Zespołu Szkół Melioracji Wodnych z Białegostoku pod kierunkiem Franciszka Mocarskiego, której występy na placu zrobiły prawdziwą furorę. Razem z Polakami

z Grodzieńszczyzny w święcie narodów uczestniczyli m.in. ambasador RP w Mińsku Mariusz Maszkiewicz z małżonką, przedstawiciele Senatu RP, urzędów miejskich Białegostoku i Lublina oraz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Na Polskim Podwórku życie kulturalne tętniło od rana do wieczora, a występy artystyczne na dziedzińcu Nowego Zamku zgromadziły liczną publiczność. Rozpoczęto od poloneza w wykonaniu zespołu „Kresowe Zabawy” z Lidy, a następnie występowały kolejno: zespół taneczny z przedszkola nr 89 i uczniowie klas muzycznych Polskiej Szkoły w Grodnie, „Grodzieńskie Słowniki” i „Słowiczęta” pod kierunkiem Alicji Binert, „Dzwoneczki” pod kierunkiem Snieżany Bernackiej i 5. Grodzieńska Drużyna Harcerska „Panaceum”. Następnie „Słowniki” z Radunia, wychowankowie Franciszki Gabis i Heleny Stacenko, zatańczyły mazurę i polkę, uczniowie z Liceum ZPB w Grodnie recytowali wiersze Mickiewicza, wystąpił chór dziecięcy „Tęcza” pod kierunkiem Tatiany Wołoszynej i zespół młodzieżowy „Rymowanka” z solistkami Ireną Grajewską, Alesią Uszakową i Ludmiłą Kujan, zaś teatr młodzieżowy „Kankan” zebrał największe oklaski. Pieśni patriotyczne i ludowe wykonały najstarsze chóry ZPB: „Echo Grodna” pod kierunkiem Janiny Węclawowicz, „Kresowianka” z Iwieńca - Stefani Lipnickiej i „Głos znad Niemna” - Wiktora Adamowicza. Uwieńczeniem koncertu był występ „Chabrów” pod kierun-

kiem Eleonory Zawadzkiej. Polskie Podwórkę zaprezentowało także wiele wystaw. Dużym powodzeniem cieszyły się wystawa Biblioteki Polskiej zorganizowana przez Wiktorię Zaniewską i Beatę Pietrzyk oraz wystawa fotograficzna - migawki z życia ZPB. Filozoficzny świat malarski przedstawiały obrazy Haliny, Tatiany i Heleny Tristen z Łunienca i prace członków Towarzystwa Plastyków Polskich przy ZPB. Rękodzieła ze skóry wykonane przez dzieci z kółka „Małe Wróżki” i jego kierowniczkę Ludmiłę Czekunową z Polskiej Szkoły w Grodnie przyciągały uwagę zwiedzających. Wycinanki ludowe zaprezentował Stanisław Mulica, kontynuujący tradycje rodzinne po babci i matce. Wystawy rękodzieła miały także panie Helena Matoszyńska, Maria Tatraszczyk, Stanisława Puzyńska, Halina Jakóbciewicz i Felicja Babicka.

Odwiedzający Polskie Podwórkę sympatycy kina mieli okazję obejrzeć na wideo dwa polskie filmy: „Ogniem i mieczem” i „Samy swoi”, natomiast smakosze oblegali stoisko z potrawami kuchni polskiej.

Ciekawy program Polskiego Podwórka przyciągał wielu gości i widzów. Prezentacja polskiej kultury na dziedzińcu Nowego Zamku była możliwa dzięki ogromnej pracy kierownika Działu Kultury ZPB Oksany Gołombowskiej oraz wszystkich występujących zespołów i twórców. Mamy nadzieję, że za dwa lata - na kolejnym festiwalu - mieszkających na tej ziemi Polaków będzie stać na jeszcze lepszą prezentację bogactwa tradycji i kultury.

Tatiana Zaleska, Grodno



Obrazki zaniemeńskie - 2

U nich wszystko kradzione, tylko kołchoz własny

Pierwszym większym ośrodkiem miejskim po Grodnie, jaki poznałem na Białorusi (nie licząc Mińska, który wówczas traktowałem jako miasto rosyjskie) była dotąd zupełnie nie znana mi Lida. Dopiero po jakimś czasie dołączyłem to miasto w pamięci, gdy przypomniałem sobie, że o Lidzie, nie kojarząc ani miejsca, ani okolicy, czytałem już kilka lat wcześniej w niezwykle książce Cezarego Chlebowski pt. „Reportaż z tamtych dni”. Teraz miałem się znaleźć dokładnie w tych samych miejscach, o których pisał Chlebowski. Co więcej, także wśród niektórych świadków wydarzeń tamtych dni.

Był rok 1991, pełnia lata oraz... drugi dzień puczu Janajewa. Dzień wcześniej, nad Kanałem Augustowskim, ustawiliśmy Krzyż w miejscu zamordowania gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego. Jak na razie pucz oglądaliśmy jedynie w miejscowej telewizji. W kraju nasze rodziny popadły w uzasadnioną panikę, ponieważ łączność została przerwana. A my, część dużej wrocławskiej ekipy Straży Mogił Polskich (Oddział Wspólnoty utworzyliśmy w dwa miesiące później): Paweł Zworski, Bogusław Więski, Zbyszek Klewin i ja, tego właśnie wieczora w gościnnym domku państwa Pacynów przy ulicy Goworowa siedzieliśmy przy pięknie zastawionym stole i gapiiliśmy się w ekran. W telewizorze „mordziasty” pułkownik czytał któryś z kolei ukaz o tym, czego nie wolno i co za to grozi, a pan Stanisław Pacyna, zacny gospodarz, częstował własną nalewką. Ze ściany obok Orła Białego dobrotliwie spoglądał na nas Ojciec Święty, a wokół był Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Śpiewaliśmy z córką pana Stanisława, Grażynką - jedną z tutejszych pionierek niedawnego polskiego odrodzenia - nieśmiertelną „Pierwszą Brygadę”. Totalny surrealizm! Gdybym tam sam nie był, nie uwierzyłbym. Ale byłem i pacynówkę piłem! Mam też świadków!

Nazajutrz okazało się, że jednak skutki puczu są, bo zupełnie zabrakło benzyny (olej napędowy był w stacjach kołchozowych). Ze Zbyskiem i panem Stanisławem pojechaliśmy na zaprawkę. Nie ma! Nawet dla pana Stanisława! Nyska wysychała, ale musieliśmy wracać z niczym. Nasz gospodarz udał się na poszukiwania. My, we dwóch, także zaczęliśmy się rozglądać. Sami, niedaleko dworca. Zbyszek postanowił nie dać za wygraną - wracamy, tylko gdzie to jest? Na widok starszej pani z wnuczką, zapytałem o drogę, jak najlepiej umiałem, po rusku... i wstyd! Babcia na to - „mów lepiej po polsku, synku” (10 lat temu!). Jak się później okazało, k a ż d a z spotkanych osób powyżej sześćdziesiątki, w Lidzie i lidzkim powiecie (a także, jak następnie stwierdziliśmy, w nowogrodzkim) niemal płynnie mówiła po polsku! Bo prawie stuosiemsetna Lida to w połowie Polacy. Nawet kapitan milicji, obywatel Smolski, który w dwa lata później prowadził dochodzenie, gdy nas w nocy okradziono - ale to furda! Całkiem niedawno, jako Polak, przedstawił się nam podpułkownik Stanisław K., komendant rejonowy milicji w okolicy Puszczy Nalibockiej. Zaś podlidzkie wioski, od Bielicy nad Niemnem aż do Bieniakoni za Woronowem, to praktycznie wyłącznie Polacy (w woronowskim prawie 90%). Teraz to wiemy. Wtedy był to praktyczny szok! A przecież jakoś się do tej wyprawy przygotowywaliśmy (okazuje się, że na dwójce z minusem!). Casus babci uskrzydlił Zbyska. Jedziemy na zaprawkę. Nie ma paliwa, nie ma kolejki! - „Jest benzyna?” - Nietu! - Jak to, Polak Polakowi nie pomoże?

- mówi po polsku Zbyszek. - Pomogę! Ile chcecie? - - odpowiedział zaskoczony lidzki „cepeeniarz”. Już się nie dziwił, bo zaczęliśmy trochę rozumieć.

Gdy wypytywaliśmy naszego opiekuna o rozmaite szczegóły, w tym o miejscowe rozwiązania techniczne, pan Stanisław wyjaśnił tyle krótko, co jednoznacznie: u nich (bolszewików) wszystko kradzione, tylko kołchoz swój, bo tego nikt by nie wymyślił... Pan Stanisław, pogodny starszy gość, praktycznie całe zawodowe życie przepracował w lidzkim browarze. Jak sam twierdzi, po rusku nie umie, a do „nich” zawsze mówił po polsku. Podsluchująca życzliwie Grażynka komentuje - „Tataś ani po rusku ani po polsku dobrze nie umie, tylko po swojemu”. Wyprzedzając nieco w czasie tę narrację - o cztery lata, gdy synek Grażynki, mały Danielek, ganiał się ze mną i hałasował po ulicy Goworowa po polsku (innego języka wtedy jeszcze nie rozumiał), a dziadek przyglądał się temu z dumą na twarzy, skojarzyłem sobie jeszcze dwu innych polskich małców tych stron: w Indurze pod Grodnem synek Wiktora Hołowni wrócił z pierwszego dnia w przedszkolu z bekiem, bo ani nikt jego, ani on nikogo nie rozumiał. Małec bowiem znał tylko mowę babci, zacnej pani Teresy. W książecym Nieświeżu natomiast inny polski wnuczek, od równie zacnej babci, pani Wandy Niżewicz, nie chciał jakoś ze mną gadać, spytałem więc jego mamę, czy mały mówi po polsku. Odpowiedziała, że nie, on jeszcze n a w e t po rusku nie mówi, za mały!

Takie to sprawy się zaczęły, gdy w Lidzie, w trzecim dniu puczu, szukaliśmy benzyny.

Lida to przedwojenne miasto garnizonowe, siedziba sławnego 77. Pułku Piechoty oraz 5. Pułku Lotniczego, w czasie okupacji niemieckiej - siedziba Nowogrodzkiego Okręgu Armii Krajowej. Ten rejon w 1944 roku był praktycznie w rękach polskich. Po wiarolomnej postawie sojuszników w lidzkich lasach najdłużej stawały opór nowemu okupantowi poakowskie oddziały straceńców, z których najbardziej znany, por. Radziwonika, trwał do 1948 roku. Pojedynczy straceńcy chodzili w tutejszych lasach do... roku 1954!

W tym rejonie, w pobliskiej Wawiorce, przez długie lata obok swych towarzyszy broni spoczywał por. Jan Piwnik - legenda Gór Świętokrzyskich i Nowogrodzkiej, sławny dowódca partyzancki „Ponury”. W wawiorskiej parafii, gdy tam przebywaliśmy i jeszcze w kilka lat później, proboszczem był... ks. Pacyna, czyli Stanisław junior! Aż do ekshumacji „Ponurego” tym zakazanym miejscem, do którego nie wolno było się zbliżać, potajemnie, udając grzybiarzy, opiekowali się właśnie Pacynowie. Cała Wawiora i okolica dobrze o wszystkim wiedziała. W ekshumacji mogło uczestniczyć niewielkie grono. Gdy przybyliśmy na wawiorski cmentarz w jasny dzień, w trzecim dniu puczu, w czwartek, w roboczy czas... samochodami, motocyklami, furmankami, rowerami i pieszko przybyło ponad dwa tysiące ludzi! Płaczące kobiety pod niesiony przez nas Krzyż rzuciły naręczą kwiatów. Niektórym z nich wyraźnie zawirowały czas i realia... i wydawało się, że zmieniło się już wszystko. Cichaczem pytały nas: czy to już wróciła Polska?

Pierwsze od 1944 roku publiczne nabożeństwo przy mogiłach jedenastu chłopców od „Ponurego” było czymś po prostu niezwykłym. Znowu było piękne lato, znowu płakały kobiety. „Ponury”



i chłopcy po boju pod Jewłaszami, jak to pięknie napisał Cezary Chlebowski: „padli w samym środku lata”. Jak przywołuje tamten czas jego świadek, w tę noc, a następnie świt, gdy spod Jewłasz, polnymi drogami jechał kondukt poległych rycerzy polskiego podziemia, dołączały doń powiadomione nie wiadomo przez kogo, całe wsie. Smutna celebra stała się największą, ponad trzytysieczną w o l n ą manifestacją, jedyną tak liczną patriotyczną manifestacją w całej okupowanej Polsce. W 1991 roku w naszej uroczystości uczestniczyli i tacy, którzy byli wówczas. Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem. Wiem natomiast na pewno, że nigdy później na Grodzieńszczyźnie i Nowogródzkiej nie widziałem na raz aż tylu tułających się rodaków zgromadzonych wyłącznie z przymusu serca. Non omnis moriar!

Obecnie, po dziesięciu latach przemian na Białorusi, mimo że nie ma już ZSRR (nadal nie mogę się temu nadziwić!) taka polska, patriotyczna i spontaniczna jednocześnie manifestacja - jak sądzę - nie byłaby możliwa. Wtedy było takie pięć minut Historii, podczas których wszystko wydawało się możliwe! Przecież tam, w całym ZSRR, za nieudany pucz trzydniowy zdelegalizowano partię!

Następnego wieczora, gdy wróciliśmy z Naczy i Niecieczy, gdzie także stały Krzyże z Polski na mogiłach akowskich, w telewizorze nie było już „mordziastego”. Z samolotu, na moskiewskim lotnisku, całkiem żwawy Jelcyń wyprowadzał bladego i wyraźnie wylekionego Gorbaczowa. Puczu już nie było. Jedyne jego skutki widzieliśmy dwa dni później tuż przed Mińskiem. Milicja i cywile w hełmach oraz kuloodpornych kamizelkach kontrolowali wyjeżdżających z miasta: puczyści (lokalne władze partyjno-paristwowe) wyłożyli się jak na widelcu - poprzedniego dnia ze wszystkich obwodów wysyłali depeche z poparciem i... już nie zdążyli ich wycofać! Teraz zwiewali i byli wyłapywani. Głupia sprawa, ale nawet nam się to podobało...

Wcześniej widzieliśmy jeszcze Raduń oraz pobliską, obecnie nadgraniczną, Nacze. W tej ostatniej, zachwaszczona, niewidoczne mogiły akowskie poprzez uroczyste ustawienie Krzyża i wcześniej-sze ich uporządkowanie przez uprzedzone przez nas w przeddzień naczarskie kobiety, uratowaliśmy przed planowanym zajęciem przez nowe, współczesne pochówki. To też było miejsce zakazane. Uroczystość, choć znacznie skromniejsza niż w Wawiorce, miała nie mniej dramatyczny przebieg. I tutaj wylały się, lecz już jawnie i wobec swoich, szczere potoki łez dobrych kobiet polskich. Po latach warszawska fundacja, współpracująca ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK, korzystając z chwili wolności na tym terenie, wybudowała w tym miejscu piękną kwaterę wojskową.

Wówczas w te i inne miejsca, także do polskich Termopil (których już z kolei?) - Surkontów, gdzie owego tragicznego lata 1944 roku zginął w boju z sowietami przedostatni dowódca Nowogródzkiego Okręgu AK, inżynier, Hubalczyk, cichociemny, jednoręki bohater ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, zawiózł nas pan Stanisław, którego wszędzie znali, bo do wszystkich mówił po swojemu - po polsku. A wszystko tuż przy narbutowskich Świętych Błotach z 1863 roku (grób Teodora Narbutta znajduje się na kościelnym dziedzińcu w Naczy).

We trzech, z Bogusiem (z tutejszego Feliksowa, a w ogóle z Wrocławia, zaś w międzyczasie z Irkucka, gdzie został... lekarzem) oraz wspomnianym Zbyszkiem, w te same miejsca wróciliśmy dokładnie za rok. Wtedy w okolicy Niemna spotkaliśmy kolegę szkolnego Czesława Niemena, zanego raduńskiego Polaka Józka Kirwielę i jeszcze kilkoro ludzi szczególnych... Ale jeszcze tego samego lata dotarliśmy do Mińska.

Tu też jest Polska

Po niezwyklej dla nas zdarzeniach w ludzkim powieciu, w dzień po zakończeniu puczu wyruszyliśmy na dalszy szlak. Kolumnę otwierał autokar z wrocławskim chórem „Szumiący Jesion”. Chór praktycznie profesjonalny, choć formalnie amatorski, cudownie uświetniał nasze uroczystości nad Kanałem Augustowskim, w Przewalce, w Wawiorce, Naczy i Niecieczy.

Jedna nyska z Mikołajem Iwanowem (i Helgą) pojechała już w przeddzień do Mińska, druga, kierowana przez Zbyszka Klewina ruszyła za autobusem i - jako pożyczona od wojska we Wrocławiu - po pierwszym postoju za Lidą... wysiadła. Jechał drogą Polak z Lidy. Najpierw chciał nam sprzedać wódkę, lecz gdy dziewczyny z chóru dowiedziały się, że ma czwórkę dzieciaków, został obdarowany furą ciuchów (francuskich!), z wiezionych autobusem darów. Gdy Zbyszek ogłosił awarię kopułki (?), rodak powiedział, że jeśli w Lidzie będzie choć jedna, to on ją znajdzie i przywiezie. Postanowiliśmy zaczekać. Tak zeszyły dwie godziny.

Szefujący chórowi pan Krasnodębski oznajmił, że jego żona podjęła decyzję, by już jechać. Nie było wyboru. Uwiesiliśmy nyskę na siedmiometrowym sznurze za autobusem, przeżegnaliśmy się i... w drogę. Zworski i Boguś przezornie ulokowali się w autokarze na tylnych siedzeniach dla kontaktu wzrokowego z nami... brrr. Obok nich przysiadł mocno milczący ks. Czarek Mich. Pustą, porządną szosą po - o czym wówczas nie wiedzieliśmy - północnej stronie Puszczy Nalibockiej potoczyliśmy się szlakiem ludzkim, który za Pierszajami włączył się w szlak wileński (początek historycznego Traktu Batorego), a następnie przeszedł w trakt rakowski. Po około 150 kilometrach tuż przed Rakowem (kto pamięta łotwowsko-szpiegowską opowieść Sergiusza Piaseckiego „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”?), dopędziła nas trąbiąca ładu. Lidzki rodak nie zawiódł! To my byliśmy niewiernymi Tomaszami. Przywiózł kopułkę. Na wszelki wypadek dotoczyliśmy się do miasteczka.

Raków, położony około 40 km od Mińska, do 1939 roku był ostatnim miasteczkiem polskim na granicy sowieckiej i na granicy województw wileńskiego i nowogródzkiego. Po 1905 roku rakowianie wraz z okoliczną ludnością, korzystając z ukazu tolerancyjnego wybudowali piękny, duży neogotycki kościół. Poprzednią świątynię, za karę po powstaniu styczniowym, odebrano i tutejszym obyczajem podarowano prawosławnej Cerkwi, usiłując jednocześnie „zawrócić” katolicki lud do prawosławia, co także było obyczajem napływowej władzy rosyjskiej. Nie udało się. Ponadto, mimo masowego exodusu po latach 1944 i 1945 tutejszych Polaków na Zachód, pozostało ich tutaj jeszcze tylu, że po 1989 roku odzyskali świątynię, do której z rzadka dojeżdża duchowny. Po rakowskich starozakonnych pozostał okazały i dobrze zachowany kirkut. Raków był własnością znanego rodu Zdziechowskich. Współcześnie najbardziej służy mu fakt, iż na tutejszym cmentarzu katolickim spoczywa dziadek Zbigniewa Brzezińskiego.

Kopułka nie ożywiła nyski. Potoczyliśmy się dalej, konotując dobrą znajomość polskiego w tutejszych opłotkach. Po godzinie ujrzeliśmy bielejące kontury sięgających horyzontu wielkich blokowisk zachodnich przedmieść Mińska. Zaraz po tym, nie indagowani, obejrzelśmy na szczęście tylko zza szyb wspomnianą wyżej pułapkę na puczystów. Czekaający na rogatkach Iwanow poprowadził kolumnę do samego centrum, do czerwonego kościoła. Kościół z wnętrzem jeszcze podzielonym na piętra, szatnią oraz - co wprawiło Zbyszka w najwyższe zadziwienie -... ubikacjami, znajdował się w szczycie trwającego remontu i przebudowy zarazem. Tuż obok



na ogromnym Placu Lenina, naprzeciwko budynków Rady Najwyższej BSRR, trwała wielotysięczna manifestacja. Na wychodzących wśród ochronnego szpaleru deputowanych popierających pucz manifestanci rzucali obelgi i... pluli. Gdyby nie kordony milicji niewątpliwie doszłoby do linczu. Większość Rady Najwyższej przyjęła ustawę o suwerenności w ramach ZSRR. A Plac Lenina, przemianowany niebawem na Plac Niepodległości, huczał wolnościową demonstracją. Tak więc w ciągu czterech dni, jakie spędziliśmy tutaj zamiast na Kołymie, znaleźliśmy się w jakby-wolnej Białorusi i w polskim (wtedy w pełni!) kościele w samym centrum wydarzeń jednocześnie. Surrealizm? Nie, tak było naprawdę i ja to widziałem! Ponadto mam świadków. Paweł Zworski, który przez cały dzień z przejęcia tylko zgrzytał nerwowo zębami, wieczorem, gdy odtajał, zaczął żartować: „Dziedzic, ty nic się nie bój, ja już tam byłem (na zsyłce w Kazachstanie 1940-1945), zapisałbym cię po powrocie do wrocławskiego Związku Sybiraków, dobre cool! - porykiwał. Ale to było dopiero późnym wieczorem. Na razie ten jakby stuletni dzień miał się dopiero ku obiadowi! Zjedliśmy go dzięki zacnemu proboszczowi ks. Władysławowi Zawalniukowi w sali, której miejsce dzisiaj (rok 2000) znajduje się... w powietrzu, czyli około 6 metrów nad posadzką w centralnej części wnętrza kościoła (po remoncie). Ks. Władysław natychmiast znalazł nam przewodników, dwu starszych mężczyzn, z którymi pociągnęliśmy nyskę do jakiegoś warsztatu. Tam za pół litra i polskie papierosy po dwu godzinach... mechanicy wyjęli zeschnięty liść z gaźnika. I wio!

Gdy wróciliśmy pod kościół, proboszcz, chór i nasza ekipa już pojechali do Kuropat. Nas zabrał do starej łady, po wspólnym załadunku na jej dach przenośnego ołtarza i lichtarzy, jeden z naszych przewodników, jak się okazało społeczny kościelny i w ogóle kościelny mechanik - złota rączka. Miał oryginalny sposób prowadzenia auta - cały czas coś mówił, rozglądał się i wrzucał biegi łokciem. Słuchałem go z ciekawością. Okazał się jednym z zupełnie już nielicznych autochtonicznych mińskich Polaków. Ojca stracił w ramach czystki etnicznej Polaków, jaką NKWD przeprowadziło w 1937 roku. Obecnie, z dużą dozą pewności można założyć, iż ojciec pana Stanisława zginął śmiercią męczennika właśnie w Kuropatach. Opowiadał o trudach życia w ostatnim okresie, gdy sytuacja w ZSRR stawa-

ła się ekonomicznie nie do zniesienia, a apogeum pieriestrojki przynosiło wzajemnie sprzeczne efekty. O tuż zakończonym puczu, choć tak naprawdę nie był jeszcze o tym przekonany, mówił z wyraźnym przejęciem: „Gdy się zaczęło, chciałem wszystko zabrać i uciec d Polski (mając w pamięci powieści Piaseckiego o tych stronach p myślałem - jak to się tutaj powtarza?!), ale - kontynuował - ksiądz Władysław powiedział: siedź, tu też jest Polska, więc zostałem. Tera jeszcze wciągnę ten czwarty krzyż (na wieżę czerwonego kościoła i trochę odpoczne”. Na takie dictum popatrzyliśmy na siebie z Zbyskiem - a już myśleliśmy, że trochę zrozumieliśmy tę krainę i tych ludzi! Figa z makiem!

W Kuropatach, straszliwym uroczysku leśnym, największym ja dotąd odkrytym miejscu masowego mordu na obszarze całego ZSRR, miejscu, gdzie nie śpiewają ptaki (!), czekali już ks. Władysław ks. Czarek i o. Janusz (regulaminie wydalanym za polonizację - jak m powiedziała pani konsulowa, zdolna dziennikarka Anna Pruga Myśliki) oraz konsul generalny Tadeusz Myśliki, znany białoruski mik kiewiczolog Adam Makijs i dwoje miejscowych poetów białoruskich języcznych. Wy tłumaczyli nam, zupełnie nieświadomym o co chodzi że część napisu na naszym Krzyżu to mowa rosyjska, a nie białoruska (rok później poprawiliśmy).

W miejscu mordu rozstrzelanej białoruskiej Polonii stawialiśmy pierwszy polski Krzyż. Po białorusku i polsku odprawiona została Msza św. żałobna. Pierwszy raz w tym miejscu. Wszystkie te - be przesady - epokowe wydarzenia, które tutaj przypominam, miały miejsce jednego dnia! Dzisiaj to już historia, a rzeczywistość jest inni niż wydawało się, że będzie. Wtedy (1991 rok) katedrą było tylko poddasze całkowicie przebudowanego obiektu, a na drzwiach czerwonego kościoła porządek nabożeństw był wypisany po p o l s k u Dzisiaj, po dziesięciu latach, cała katedra jest pięknie odbudowana i odnowiona, lecz napisy... i tu, i tam są białoruskie. Może kiedyś wy tłumaczy mi i to nasz kierownik łady. Bardzo chciałbym go jeszcze spotkać, bo znów zaczynam nie rozumieć... Ale taką to już chyba jest i pozostanie ta dziwna a piękna kraina! Mińszczyzna - lecz już be Wańkowiczów, Prószyńskich, Piaseckich, Moniuszków, Zanów Czeczottów, Zdziechowskich, Korzonów, Giedroyców czy Gieysztołów lub Brzezińskich.

Zdzisław J. Winnicki



Festiwal 2000

Różne są sposoby manifestowania polskości w kraju za mieszkania. Polacy z Zaolzia, którego terytorium 80 lat temu zostało przyłączone do Czechosłowacji, od kilkadziesiąt lat pokazują swój dorobek kulturalny co roku w Jabłonkowie podczas Gorolskiego Święta, a co dwa, trzy lata na przemian w Trzyńcu i Karwinie podczas Festiwalu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Tak nakazuje przedwojenna tradycja, kiedy to manifestowanie dorobku i potęgę polskich organizacji było przejawem patriotyzmu i wskazówką dla władz w Warszawie, że choć zgodnie z decyzją Rady Ambasadorów z 28 lipca 1920 roku część Ziemi Cieszyńskiej znalazła się poza Ojczyzną, to tutejsi Polacy nie wyrzekli się swej polskości. I tak, tłumnie przybywali Polacy z całego Zaolzia do Parku im. Adama Sikory w Czeskim Cieszynie na festyny Macierzy Szkolnej, Dni Strażaka, Dni Spółdzielców.

Po wojnie sytuacja Polaków na Zaolziu uległa radykalnej zmianie. Komunistyczne władze Czechosłowacji nie pozwoliły na kontynuowanie działalności polskim przedwojennym organizacjom społecznym, zarówno tym o charakterze gospodarczym, jak i kulturalnym. Pozwolono jedynie na powstanie nowej i przez kilkadziesiąt lat jedynej polskiej organizacji - Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (przez kilka lat równolegle działało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej). W roku 1953 w Parku im. A. Sikory w Czeskim Cieszynie po raz pierwszy w nowej sytuacji politycznej odbyła się masowa impreza, którą nazwano festiwalem. Zespoły śpiewacze i taneczne, biorące udział w imprezie, przemaszerowały ulicami miasta do parku. Trzy lata później podobny festiwal zorganizowano w Karwinie. Każdy kolejny festiwal to manifestacja dorobku kulturalnego miejscowych Polaków w postaci licznych zespołów folklorystycznych, chórów, zespołów sportowych (przez wiele lat festiwalom towarzyszyły mecze piłki nożnej), wystawy artystów plastyków i prac ręcznych członkiń Klubów Kobiet. Z biegiem lat utrwaliła się nowa tradycja. Na festiwalach zaczęły pojawiać się znane i lubiane zespoły z Polski. Na dwudziestolecie PZKO na festiwal do Karwiny przybyły zespoły z Polski i Węgier, a miejscowy klub sportowy odbył towarzyski mecz piłki nożnej z SKS Cracovia z Krakowa. W Trzyńcu w roku 1974 na stadionie sportowym śpiewało jednocześnie dwa tysiące polskich chórzystów, a wieczorem wystąpił główny gość festiwalu - Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, który jeszcze wielokrotnie występował na Zaolziu, podobnie jak „Mazowsze”.

W roku 1990 w nowym klimacie politycznym odbył się kolejny Festiwal PZKO w Karwinie. Była to okazja do zaprezentowania się nowych polskich organizacji, toteż współorganizatorem tegoż Festiwalu było nowo odrodzone Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. W sobotnim bloku programowym zaprezentował się zespół „Lady Punk”. Dwa lata później w Trzyńcu miał miejsce festiwal Kultury Polskiej, jako wyraz zmieniającej się rzeczywistości politycznej, bowiem obok PZKO zaistniały w tym czasie nowe polskie organizacje społeczne, zrzeszone w Kongresie Polaków. Ważny był Festiwal w roku 1997, zorganizowany przez PZKO w Karwinie z okazji 50-lecia tejże organizacji. Wśród wielu dostojnych gości przybyłych z tej okazji na Zaolzie był ówczesny minister kultury i sztuki RP Zdzisław Podkański, który wręczył 50 Polakom w Republice Czeskiej medale „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Rok 2000 Polacy na Zaolziu postanowili wykorzystać jako moment godny podsumowania powojennego dorobku kulturalnego. I znów po latach miasto Trzyńciec, dzięki przychylności miejscowych władz, stało się miejscem zaprezentowania polskiego dorobku. A była to rzeczywiście imponująca demonstracja. Przy sprzyjającej, słonecznej aurze 27 i 28 maja przez ulice i stadion sportowy Trzyńca przewinęło się około 17 tysięcy Polaków.

Sobota była dla młodzieży, na stadionie przez cały dzień występowały zespoły młodzieżowe, a wieczorem - zespół „Lombard” z Polski.

W niedzielę, w hali sportowej śpiewało 1000 chórzystów, na co dzień zrzeszonych w chórach w różnych miejscowościach Zaolzia. Imponująco wyglądał barwny, rozśpiewany korowód polskich zespołów, przedstawicieli organizacji i szkół na ulicach miasta. Jak zwykle nie zabrakło pięknych strojów ludowych i harcerskich. W hali sportowej zaprezentowały się zespoły:





„Olza”, „Suszan”, „Bystrzyca”, „Skotnica”, „Górale” oraz dziecięce „Nowina”, „Łączka”, „Lipka” i „Skotniczka”. Dech w piersiach widzów zapierały występy cieszących się prawie stuletnią tradycją gimnastyków z Wędryni, budujących misternie kilkupiętrowe ludzkie piramidy, których szczyty wieńczyły małe dzieci. To z całą pewnością unikalny w świecie polonijnym zespół. Kulminacyjnym punktem programu było widowisko patriotyczne „Orzeł Biały” w wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. W ramach Festiwalu PZKO odbyło się też kilka imprez towarzyszących. Przez cały maj w Muzeum Huty Trzynieckiej i Miasta Trzyna można było obejrzeć wystawę „Polacy na Zaolziu”, w ramach Festiwalu swoje prace zaprezentowali zaolziańscy plastycy zrzeszeni w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków przy Zarządzie Głównym PZKO, a panie z Klubów Kobiet - robotki ręczne. Podczas Festiwalu, w przerwach między kolejnymi koncertami, można było posilić się smacznymi daniami kuchni śląskiej, które zostały przygotowane przez członków Kół PZKO z różnych części Zaolzia. Tu należy podkreślić, że przygotowanie i sprzedaż śląskich specjałów podczas tego typu akcji, jak Festiwal, Gorolskie Święto, festyny czy dożynki, to przede wszystkim zarobek dla poszczególnych kół (a jest ich 90), które w ten sposób zyskują fundusze na utrzymanie Domów PZKO.

Nie ulega wątpliwości, że Polacy na Zaolziu po raz kolejny pokazali, że w zgodzie z tradycją duch polskości tkwi w nich głęboko. A już na początku sierpnia kolejna masowa impreza, kolejne 53. Gorolskie Święto.

Elżbieta Stróżyk
fot. F. Balon

Polacy w kulturze

W dniach 19 - 31 maja w Szczecinie odbyła się prezentacja artystów polskich mieszkających w Danii pod hasłem „Polacy w kulturze Danii”. Zorganizowali ją: Federacja Organizacji Polskich i Polsko-Duńskich w Danii „Polonia”, Urząd Marszałkowski, Zamek Książąt Pomorskich i Duński Instytut Kultury przy współpracy z władzami Szczecina, Domem Kultury „Klub 13 Muz” i redakcją „Pogranicza” - szczecińskiego dwumiesięcznika kulturalnego.

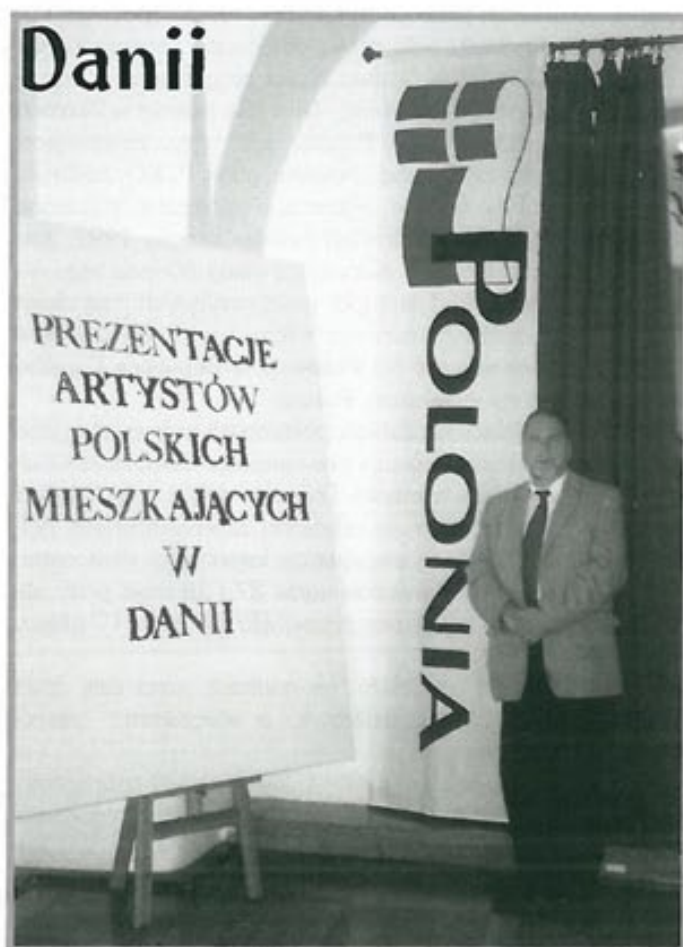
Swoje prace zaprezentowali podczas niej znani i cenieni w Danii artyści: Peter Gyllan (grafika), Barbara Domagała-Wilson (malarstwo), Piotr Topperzer (fotografia), Teodor Bok (rzeźba). Popularna w Danii, pisząca po duńsku pisarka, Janina Katz i animator kultury Włodzimierz Herman przedstawili swoją bogatą twórczość na spotkaniach literackich i w kabaretach literacko-filozoficznych. Dużym powodzeniem wśród publiczności szczecińskiej cieszyły się także koncerty duńskiej muzyki organowej w wykonaniu Ewy Marii Jensen, Carstena Holbta i chóru kameralnego z Aalestrup.

Z satysfakcją można stwierdzić, iż prezentacja polskich artystów mieszkających w Danii spotkała się z żywym zainteresowaniem publiczności szczecińskiej. Majowa impreza wpisała się w inicjatywy kulturalne Szczecina, w tym także te, które obejmują swym zasięgiem najbliższych sąsiadów grodu nad Odry - Niemcy, Szwecję i Danię. Taka wymiana jest najlepszą formułą zbliżenia i poznania społeczeństw tych krajów.

Danii

PREZENTACJE
ARTYSTÓW
POLSKICH
MIESZKAJĄCYCH
W
DANII

POLO니아





Spotkanie literackie

Attachat Kulturalny Ambasady RP w Kopenhadze jak i Duński Instytut Kultury w Poznaniu pracują teraz nad długofalowymi założeniami programu „Sąsiedzi”, którego założenia są zgodne z duchem polsko-duńskiej umowy o współpracy kulturalnej i naukowej na lata 1998-2002.

Prezentacja duńska w Szczecinie otwiera szerokie możliwości dla dalszej współpracy grodu znad Odry i partnerami duńskimi. W październiku 2000 r. planowana jest wizyta studyjna przedstawicieli związku twórców Køge, Roskilde, Søllerød Museum i Roskilde Amt w Szczecinie, a w sierpniu wizyta Dyrektora Teatru Lalek „Pleciuga” w Fyrrejet w Odense. Być może na zasadzie wzajemności uda się zorganizować dni polskie, promujące Szczecin w Aalborgu.

Położenie geograficzne Szczecina ułatwia rozwój współpracy polsko-duńskiej czy polsko-skandynawskiej. Miejmy nadzieję, iż prezentacja polskich artystów mieszkających w Danii przyczyni się w jeszcze większym stopniu do umocnienia partnerskich stosunków między Polską a Danią. (PP)

Biblioteka Polska w Paryżu

W centrum Paryża, na wyspie Św. Ludwika, w jego najstarszej i najbardziej urokliwej okolicy, wznosi się szlachetny, siedemnastowieczny budynek Biblioteki Polskiej. Jego okna spoglądają na Sekwanę. Nim zastuka się do wrót Biblioteki, jednym spojrzeniem rzuconym w lewo ujrzyć można wspaniałe swą gotyckością prezbiterium katedry Notre Dame. Gdy zaś spojrzeć przez prawe ramie, widzi się most nadsekwaniński, nad którym, z boku, wznosi się monumentalna rzeźba św. Genowefy, patronki Paryża, wykuta przez Landowskiego. Od Biblioteki Polskiej (6, quai de Orléans) kilka kroków prowadzi do narożnej kamienicy, w której zamieszkiwała Maria Skłodowska-Curie. Idąc

nieco dalej i, w lewo, a następnie w prawo, przy tnącej w poprzek wyspę ulicy Św. Ludwika wznosi się kościół tegoż wezwania. Tuż przy wejściu, po lewej stronie, jest kaplica związana z rodem Czartoryskich, w której Chrystus zmartwychwstający dawał, w czasach niewoli, nadzieję Polakom. Naprzeciw kościoła, jeszcze nie tak dawno, była świetna polska księgarnia i galeria wystawowa „Libella” małżeństwa Romanowiczów. Na końcu tej ulicy ciemnieją kamienne ściany Hotelu Lambert. Ta arystokratyczna rezydencja przez kilkadziesiąt lat wieku XIX była siedzibą rodu Czartoryskich, centrum wolnej polityki i kultury polskiej, symbolem ciągłości tradycji Rzeczypospolitej.

Fragment ekspozycji



Otoczenie, atmosfera, czyli to, co się zwie *genius loci*, są na wyspie Św. Ludwika znakomite. Odpowiada też temu miejscu, swą przeszłością i bogactwem zbiorów Biblioteka Polska.

Biblioteka Polska w Paryżu to najstarsza, bez przerwy (poza drugą wojną światową) działająca na emigracji polska placówka kulturalna i naukowa. Jest ona organicznie związana z Towarzystwem Historyczno-Literackim. Oto, na wieść o niszczeniu przez Rosjan po 1831 roku instytucji naukowych i grabieniu ich zbiorów, postanowiono bronić instytucjonalnej ciągłości polskiego życia naukowego. Wśród różnych inicjatyw najważniejszym było Towarzystwo Literackie Polskie, powołane przez 15 fundatorów w Paryżu 29 kwietnia 1832 roku. Pierwszym jego prezesem został ks. Adam Jerzy Czartoryski. W 1836 roku powołano w nim Wydział Historyczny na czele z sędziwym Julianem Ursynem Niemcewiczem. Usamodzielił się on na czas pewien, aby, ostatecznie, w 1854 roku ponownie połączyć się z macierzystym stowarzyszeniem. Od tego też roku nosi ono obecną dwuczłonową nazwę. Jego siedziba mieści się w gmachu Biblioteki, a prezes, redaktor Leszek Talko, do niedawna był także dyrektorem tej ksiąźnicy. Towarzystwo liczy obecnie ponad 400 członków, wyłącznie z emigracji, w większości z Francji. Obecnie TH-L działa w oparciu o statut z 5 maja 1977 roku, zatwierdzony przez Conseil d'État i zgodny z przyznanymi mu jeszcze w 1866 roku uprawnieniami francuskiej instytucji wyższej użyteczności publicznej. Towarzystwo gromadzi środki na utrzymanie Biblioteki Polskiej.

Od początków wychodźstwa polistopadowego nurtowała emigrantów myśl odtworzenia na wygnaniu biblioteki narodowej. Aleksander Gołyński w memoriale spisany już we wrześniu 1832 roku w Dreźnie m.in. przewidywał konieczność utworzenia na wychodźstwie takiej ksiąźnicy. Było kilka inicjatyw w tej dziedzinie (m.in. Towarzystwo Demokratyczne Polskie miało swoją bibliotekę, której zbiory zasilili po pierwszej wojnie światowej Bibliotekę Narodową w Warszawie).

W 1838 roku Karol Sienkiewicz, przed powstaniem listopadowym bibliotekarz w Puławach Czartoryskich, zachęcił J. U. Niemcewicza do założenia na emigracji czegoś w rodzaju biblioteki narodowej. Dnia 24 listopada 1838 roku w paryskim

mieszkanu Ludwika Platera podpisano akt założenia Biblioteki Polskiej. Jej, tworzące się dopiero, zbiory po raz pierwszy udośćpniono czytelnikom 24 marca 1839 roku. Po kolejnych przeprowadzkach ostatecznie w 1854 roku zakupiono dla niej XVII-wieczny gmach przy Nabrzeżu Orleańskim 6. Mieści się więc w nim nieprzerwanie od 156 lat, co jest ewenementem w stosunkach polskich. W zakupie budynku, jako że funduszy

zbiórkowych niedostawało, pomógł hr. Władysław Zamoyski, który w zamian za to zamieszkał na pierwszym piętrze. Zbiory Biblioteki stale wzrastały i wzrastają, przede wszystkim w wyniku darowizn obejmujących najróżniejsze wydawnictwa, bezcenne rękopisy, ale także dzieła sztuki.

Nieco trudniejsze czasy przyszły dla emigracyjnych instytucji polskich we Francji po klęsce Napoleona III w 1870 roku, gdy to rządy III Republiki zaczęły gorzej traktować Polaków i zerkać ku Petersburgowi. Książęta Czartoryscy, opiekunowie Biblioteki, przedstawiając się na orientację austriacką, doprowadzili - nie do końca zresztą przestrzegano postanowień statutowych - do przyjęcia zwierzchnictwa nad nią przez krakowską Akademię Umiejętności, późniejszą PAU. I tak będzie do 1940 roku. W czasie okupacji Paryża Niemcy zajęli ją i wywieźli jej zbiory. Szczęśliwie większość z nich wróciła nad Sekwanę po wojnie. Ale wkrótce rozgorzał spór o własność Biblioteki między Towarzystwem Historyczno-Literackim a rządem PRL-u, który chciał podporządkować ją Polskiej Akademii Nauk, założonej według modelu sowieckiego na miej-

scu zlikwidowanych - Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Sprawa Biblioteki Polskiej 3 czerwca 1959 roku była nawet przedmiotem debaty parlamentu francuskiego. W 1982 roku dzierżawa Biblioteki Polskiej została przedłużona dla TH-L do roku 2030. Niezależnie od tych sporów, wygranych przez TH-L przed sądami paryskimi, Biblioteka Polska była otwarta również dla badaczy przyjeżdżających z Kraju. Przy tym jej zbiory z czasem zaczęły pomnażać się też o materiały przekazane przez kolejną polską emigrację niepodległościową, powstałą w wyniku decyzji jałtańskich.

Budynek przy 6, quai d'Orléans, a w istocie zespół budowli, obejmujący oficyny, zabytkową, piękną swą architekturą, stajnię



F. Chopin

i podwórzec z pamiątkowymi tablicami, nie jest tylko siedzibą Biblioteki Polskiej i TH-L. Mieści się tam również Muzeum Adama Mickiewicza założone i otwarte 3 maja 1903 roku przez jego syna Władysława. Przy muzeum jest też salonik, w którym zebrano pamiątki po Fryderyku Chopinie. W muzeum mickiewiczowskim jest też ciekawa galeria znakomitych malarzy polsko-paryskich. We wrześniu 1974 roku w tymże gmachu otwarto, przetworzone w 1994 roku, Muzeum Bolesława Biegasa (1877-1954), samorodnego talentu, wielkiego rzeźbiarza, który znaczną część swego dorobku podarował Bibliotece.

Już ten skrótowy wykaz instytucji polskich: naukowych, kulturalnych, społecznych, mieszczących się w zespole budynków przy paryskim Nabrzeżu Orleańskim od 1854 roku, wskazuje znaczenie i rolę tego miejsca w dziejach niepodległościowego wychodźstwa polskiego od 1832 roku, ale też w historii kultury polskiej ostatnich stu kilkudziesięciu lat.

Obecnie Biblioteka posiada prawie ćwierć miliona woluminów książek i broszur, ponad 2 tysiące tytułów prasowych, bardzo bogaty jest zbiór rękopisów poczynając od XVI wieku, zarejestrowanych jest ponad 3000 sygnatur oddzielnych tek lub ich zespołów. Uzupełnia je bogaty zbiór rękopisów Muzeum Adama Mickiewicza. Zbiory kartograficzne obejmują ponad 7 tysięcy pozycji. Na kolekcje artystyczne TH-L składa się ponad 20 tysięcy najróżniejszych dzieł artystycznych. Bardzo wiele wydawnictw z lat powojennych czeka na opracowanie lub przekazanie innym bibliotekom.

Przez czytelną Biblioteki corocznie przewijają się ostatnio co najmniej 4 tysiące czytelników, ale istnieje też wypożyczalnia oraz udzielane są liczne konsultacje. Budynek przy quai d'Orléans to nie tylko klasyczna biblioteka naukowa. Jest to również miejsce licznych odczytów naukowych, odbywania uroczystości narodowych, związanych zwłaszcza z historią TH-L, recitali artystycznych, wystaw okolicznościowych. TH-L publikuje własne wydawnictwa, m.in. wydano w latach dziewięćdziesiątych 4 tomy „Akt Towarzystwa”. Coraz liczniej do sal muzealnych zaglądają rodacy z Kraju zwiedzający Paryż. Dla wielu uczonych Biblioteka jest ważnym miejscem pracy badawczej, szczególnie gdy idzie o dzieje Wielkiej Emigracji i kolej-

nych grup wychodźców politycznych, aż po ostatnie z czasów stanu wojennego, lecz nie mniej ważna jest jej rola w stosunku do Polaków paryskich, którzy czują się tutaj u siebie i przychodzą choćby po to, aby poczytać bieżącą prasę krajową lub spotkać znajomych. Ważna jest też rola popularyzatorska Biblioteki wobec Francuzów.

Utrzymanie i prowadzenie Biblioteki Polskiej, mimo bardzo szczupłego personelu, jest nie tylko pracochłonne, ale i kosztowne, a niektóre źródła fundacyjne wysychają. Trzeba jeszcze pamiętać o tym, że zespół tych budynków liczy ponad 300 lat, a jego stropy i mury są przeciążone masą książek. W ostatnich latach, obok drobniejszych, bieżących remontów pięknie odnowiono pomieszczenia muzeum mickiewiczowskiego i Biegasa, podobnie XVII-wieczną, o efektownych sklepieniach, stajnię, gdzie wstawiono nowoczesne, kompaktowe regały. Ale to, niestety, nie wystarcza. Bibliotece zagraża katastrofa budowlana. W tej sytuacji Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego 14 stycznia br., na wniosek nowego dyrektora Biblioteki Kazimierza Piotra Zalesskiego, podjęła decyzję o zamknięciu tej księżnicy z dniem 24 marca. Przy okazji podjęto skontrum całości zbiorów. Prace mogą potrwać trzy lata. Jest to bolesna decyzja i dla uczonych, i dla Polonii paryskiej, ale innego wyjścia nie ma. Przy tym bardzo kosztowne prace renowacyjne i konserwatorskie wymagają bezwzględnie zasadniczego wsparcia z Kraju, emigracja sama tego ciężaru nie uniesie. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” włączyło się już ze swymi funduszami



Popiersie Olgi Boznańskiej w Muzeum B. Biegasa

w obecną, wstępną fazę prac. Jednakże jest to zadanie na lata, a koszty w miarę rozwoju prac remontowych będą szybko rosły. Renowacja Biblioteki Polskiej w Paryżu winna należeć do priorytetów nie tylko naszego Stowarzyszenia, ale i władz rządowych Rzeczypospolitej. Towarzystwo Historyczno-Literackie, Biblioteka Polska i Muzeum Adama Mickiewicza należą do najstarszych i najbardziej zasłużonych placówek polskiej emigracji na świecie. Przy tym są to instytucje stale czynne, odnawiające się i będące szczególniejszym pomnikiem niezależnej kultury polskiej w sercu byłej „stolicy świata” - Paryżu.

Sławomir Kalembka
fot. A. Zawadzka



Ksawery Branicki i polonica na zamku w Montrésor

Montrésor, niewielkie - liczące 500 mieszkańców - miasteczko, około 250 kilometrów od Paryża, w departamencie Indre et Loire, w Turenii, to ostatnia już we Francji miejscowość, gdzie położony malowniczo zamek, pochodzący w swym zasadniczym zrębie z XVI wieku, a następnie poddawany licznym pracom adaptacyjnym (zwłaszcza w XIX wieku), pozostaje nieustannie w rękach polskich właścicieli od ponad stu pięćdziesięciu lat. Zakupiony prawdopodobnie w 1849 roku przez Różę z Potockich Władysławową Branicką dla jej najstarszego syna Ksawerego. Po nim zamek należał do jego brata, Konstantego Branickiego i jego żony Jadwigi z Potockich. Następnie gospodarzył w Montrésor ich syn, Ksawery junior, ożeniony z Anną z Potockich (byli właścicielami Wilanowa). Później zamek przeszedł na własność córki, Jadwigi Stanisławowej Reyowej i jej dzieci, obecnych właścicieli tego niezwykłego miejsca.

Tym, który „polski Montrésor” założył i ukształtował, był właśnie Ksawery Branicki (1816-1879), postać w życiu polskiej emigracji XIX wieku niezwykle barwna, wzbudzająca wiele emocji i kontrowersji swym niezwykle - łamiącym wszelkie konwenanse i zasady - zachowaniem. Właściciel ogromnej fortuny, żył we Francji wyłącznie z tego co sam zarobił, świadomie rezygnując z olbrzymiego majątku ziemskiego w Polsce, który został objęty restrykcjami rosyjskimi, gdy odmówił carowi Mikołajowi powrotu do Sankt Petersburga i poprosił o paszport emigracyjny. Car zbulwersowany jego postawą, a także nie mogąc mu wybaczyć przynależności do skrajnej, rewolucyjnej lewicy, osobiście zastrzył sankcje, pozbawiając Branickiego szlachectwa i - zaocznie - zsyłając go na Syberię. Nie zrażony tym Ksawery nadal prowadził działalność milionera-rewolucjonisty. Wykazywał niebywałą intuicję i zmysł praktyczny w sprawach finansowych. Z powodzeniem grał na giełdzie, był



Cmentarna kaplica z nagrobkami Branickich i ich krewnych



Maria Rey

współzałożycielem Credit Foncier de France (co ułatwiło mu otrzymanie pełnej naturalizacji francuskiej), a zreżne przeprowadzane operacje finansowe uczyniły go jednym z najzamożniejszych ludzi we Francji. W przeciwieństwie do wielu emigrantów nie wiedział co to skąpstwo, wydawał chętnie i szczerze, starając się wspierać wszelkie akcje patriotyczno-wojskowe w kraju (w 1863 roku należał do najaktywniejszych członków Komitetu Francusko-Polskiego, a jego hojność pozwoliła przetrwać wielu oddziałom powstańczym, zapewniła im lepsze uzbrojenie i żołąd), przede wszystkim pomagał jednak rodakom na emigracji. Nie odmówił chyba nikomu - każdy, kto zwrócił się do niego o pomoc, otrzymywał ją. To za jego pieniądze w 1848 roku udali się do Włoch legionści Mickiewicza, a rok później Ksawery Branicki założył „Tribune des peuples” i finansował jej wydawanie, oddając redakcję w ręce Wieszcza. Hojnie wspomagał Szkołę Polską na Batignolles w Paryżu, finansował wynalazki, wydawnictwa itp. Potomek dwóch przywódców konfederacji targowickiej, mający wśród swych antenatów także cesarzową Katarzynę i jej faworyta Sergiusza Sałtykowa, jakby na przekór „kłątwie” wiszącej nad jego nazwiskiem „duszą i ciałem oddany był Polsce, idei wolności, niepodległości. To był nadrzędny cel wszystkich jego poczynań, całego życia”. Ksawery Branicki, choć lubił otaczać się pięknymi przedmiotami i dziełami sztuki, to jednak prawdziwym miłośnikiem i kolekcjonerem w pełnym tego słowa rozumieniu nigdy nie był. Na pewno nie można porównywać jego dokonań z tym, co

uczynili na polu kolekcjonerstwa w różnym czasie Atanazy i Edward Raczyńscy, Ignacy Korwin Milewski czy wreszcie Feliks Jasieński Manggha. Sam uzdolniony artystycznie, posiadał zarówno w swych paryskich pałacach, a we wnętrzach zamku w Montrésor szczególnie, wiele dzieł sztuki (niekiedy bardzo wybitnych), chętnie udostępniał je do zwiedzania turystom, ale jednak nie stworzył kolekcji o określonym profilu - tak, jak to uczynili wymienieni kolekcjonerzy. Dysponując ogromnymi, wręcz nieograniczonymi możliwościami finansowymi, mogąc kupić w gruncie rzeczy każde dzieło sztuki, każdy obraz czy rzeźbę najlepszego, najlepiej opłacanego artysty francuskiego i obcego, obecnego na współczesnym mu rynku sztuki, jednak nie podejmował spektakularnych działań w tym kierunku. Zajęty wielkimi akcjami politycznymi i rozległymi interesami finansowymi, nie miał czasu - ani chęci - aby śledzić na bieżąco zmiany i wydarzenia zachodzące w życiu artystycznym Paryża, stolicy sztuki europejskiej.

Tym, co go rzeczywiście interesowało, co zbierał, niekiedy zawzięcie szukał i kupował, nie bacząc na koszty, były polonica. „Należały do nich portrety rodzinne, wśród nich typowa dla zamków „galeria piękności”, ale wybijała się druga część tego zbioru, zespół dzieł związanych z powstaniem styczniowym, ówczesnymi wyobrażeniami i nastrojami. Ta zwarta grupa dzieł malarstwa i rzeźby, polskich i francuskich z lat 1850-1870, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Kompozycje tego typu były zaś dla kolekcjonerstwa Branickiego jedynie ważne. Tym bardziej szkoda, że do kręgu tego weszło bardzo mało utworów większej klasy, raczej zaś obrazy budzące zainteresowanie ikonograficzne, a nie artystyczne”.

Przyjrzyjmy się zatem polonicon, autorstwa naszych rodzimych twórców. Z tego co pozostało w przepastnych wnętrzach zamku w Montrésor do dziś dnia, przyciągają wzrok zwiedzających (równie chętnie witanych jak za czasów Ksawerego Branickiego) trzy obrazy Leona Kaplińskiego (1826-1873). Artysta, choć związany z Hôtel Lambert, czynny dla Czarotoryskich zarówno jako malarz, dziennikarz, a nawet agent dyplomatyczny na Bałkany i Bliski Wschód, był także przyjacielem i doradcą artystycznym Branickiego. Na uwagę zasługuje przede wszystkim dzieło życia Kaplińskiego - „Szlachta i lud” z 1863 roku, będące kompozycją do słów „Psalmu miłości” Zygmunta Krasińskiego: „Jeden tylko, jeden cud, z szlachcią polską polski lud”. Obraz przedstawia portretowo ujętego starego szlachcica w polskim stroju, ściskającego dłoń postawnego chłopca w sile wieku, ubranego w sukmanę i trzymającego rozwiany sztandar z białym orłem. Drugi

równie ważny - pod względem prezentowanego poziomu artystycznego i treści - obraz artysty, także związany z powstaniem styczniowym, to „Kat i ofiara” z 1864 roku. To skromne pod względem kompozycyjnym, a uderzające ogromną siłą wyrazu płótno, ukazuje ks. Antoniego Mackiewicz, bohaterskiego dowódcę oddziału chłopów żmudzkich, prowadzonego na szubienicę. Trzeci obraz Kaplińskiego w zbiorach montrésorskich to jeden z najlepszych jego portretów - samego Ksawerego Branickiego z 1868 roku.

Zapewne za pośrednictwem Kaplińskiego Branicki zetknął się z najwybitniejszym polskim portrecistą XIX wieku - Henrykiem Rodakowskim (1823-1894), który ożeniony z bogatą baronówną niemiecką, Kamilią Salzgeber, wiele lat spędził we Francji. Drogę do wielkiej kariery artystycznej otworzył mu złoty medal I klasy otrzymany na Salonie Paryskim w 1852 roku za portret gen. Henryka Dembińskiego, oficera napoleońskiego, uczestnika powstania listopadowego, mającego w swym życiorysie epizod wojskowy w Egipcie i Syrii, a na koniec jednego z głównych wodzów rewolucji 1848 roku na Węgrzech. Dzieło niezwykle nie tylko w dziejach malarstwa polskiego, ale także europejskiego XIX wieku, znakomity przykład romantycznego typu ikonograficznego wodza zwyciężonej armii. Właśnie ten obraz kupił do swych zbiorów Branicki, ale płótno chyba nigdy nie trafiło do Montrésor, bo właściciel zamku zdążył je niemal natychmiast przegrać w karty (sic!) z Wiktorem Oslawskim (kremnym gen. Dembińskiego), który przekazał obraz w 1892 roku do Muzeum Narodowego w Krakowie. W zamku znajduje się natomiast inne ważne dzieło Rodakowskiego - „Hrabia Wilczek błagający Jana III o pomoc dla Wiednia” z 1861 roku. Ta wielka kompozycja historyczna (ogromna rzadkość w dorobku artysty) nie tylko, że ma ważną



„Umierający żołnierz” - dzieło J. Franceschi’ego w zamkowym parku

wymowę ikonograficzną - zgodną z przekonaniem Branickiego, nieprzejednanego wroga Austrii - to jeszcze znacznie przewyższa pozostałe dokonania Rodakowskiego na tym polu, zwłaszcza martwą, pozbawioną akcji „Wojnę kokoszą”. Płótno malowane szeroko i swobodnie, utrzymane w żywej gamie kolorystycznej było inspirowane „Ucztą Grzegorza Wielkiego”, pędzla - szczególnie mu bliskiego - wybitnego malarza renesansu, weneccjanina Paola Veronese.

Jedynym artystą, który przez pewien czas mieszkał i pracował w Montrésor - dzięki protekcji swego wuja Wiktora Okryńskiego, plenipotenty Branickich - był rzeźbiarz Marcelli Guyski (1830-1893). Tworzył najchętniej w marmurze, ale także modelował w gipsie i terakocie oraz odlewał w brązie. Największą sławę przyniosły mu popiersia i głowy portretowe, zwłaszcza kobiece i liczne



medaliony. Właśnie kilka dzieł tego typu - m.in. portrety Ksawerego, Pelagii, Konstantego i Jadwigi Branickich czy Elizy Kasińskiej - pozostało w pokojach zamkowych. Wśród nich znajduje się jeszcze jedno popiersie Ksawerego Branickiego dłuta najwybitniejszego polskiego rzeźbiarza okresu romantyzmu - Władysława Oleszczyńskiego (1807-1866), niezwykle uzdolnionego ucznia wielkiego Davida d' Angers. Branicki kupił do swoich zbiorów również inne dzieło Oleszczyńskiego, popiersie Adama Mickiewicza z 1856 roku, które artysta wykonał podczas prac nad pierwszym na ziemiach polskich pomnikiem wieszczą, ufundowanym przez społeczeństwo Poznania. Pomnik był gotowy już w 1857 roku, ale został zniszczony przez hitlerowców w 1940 roku.

Inni artyści polscy tylko przewinęli się przez Montrésor. W 1870 roku starał się o gościnę w zamku Cyprian Kamil Norwid, ale ponieważ ciężko schorowany Branicki przebywał właśnie w Anglii, odszedł z niczym. W 1873 roku był tu Józef Szermentowski (1833-1876), wybitny pejzażysta, osiadł w Paryżu i związany z tzw. szkołą w Barbizon, zrzeszającą malarzy - głównie Francuzów - którzy w starych i rozległych lasach pod Fontainebleau (niedaleko stolicy Francji) malowali przede wszystkim przyrodę i życie codzienne na prowincji. Po jego krótkim pobycie nie pozostało w zamku nic.

Ksawery Branicki, zabiegany i zapracowany, nie zawsze miał czas na kontakt bezpośredni z twórcami. W ten sposób nie kupił - choć mógł - od Artura Grottgera cykli rysunków „Lituania” i „Wojna”. A przecież artysta opromieniony sławą przyjechał do Paryża w 1867 roku głównie po to, aby znaleźć nabywcę na oba cykle, gdyż potrzebował gwałtownie środków do życia. Mimo uznania w kręgach artystycznych, jego sytuacja finansowa była niestety krytyczna, a organizm pustoszyła w zastraszającym tempie nieuleczalna gruźlica. I chociaż spotkał się z ludźmi, którzy dobrze znali Branickiego, miał nawet listy polecające do niego, to jednak właściciel Montrésoru nie zainteresował się „Lituaniami”. Dlaczego? Tego nie dowiemy się zapewne nigdy, mimo że wnętrza zamku idealnie nadawałyby się na ekspozycję kilkunastu rysunków uzdolnionego artysty. Dopiero na usilne staranie siostry, Elizy Kasińskiej, Branicki kupił od Grottgera wielki i piękny rysunek „Muzykantka”, za który - jak to miał w zwyczaju - zapłacił kilkakrotnie więcej niż artysta zażądał.

Ponieważ wszystko, czym się Ksawery Branicki zajmował i co robił, było nie tylko wielkie, ale i głośnie, więc trafiali do niego zarówno artyści, jak i pośrednicy. W ten sposób w 1868 roku Zofia Szymanowska przywiozła do Paryża brązową płaskorzeźbę swego męża Teofila Lenartowicza (1822-1893), z biblijno-alegoryczną sceną „Powrotu Izraelitów do Ziemi obiecanej”. Oczywiście, dzieło „limika mazowieckiego” (przebywającego od 1848 roku na przymusowej emigracji, a od 1860 roku we Florencji, gdzie - za radą lekarzy - ograniczył swoją działalność literacką, wycieńczając podobno jego słaby i schorowany organizm, aby zająć się rzeźbą, która miała mieć znaczenie terapeutyczne) z uwagi na swą wysoce patriotyczną wymowę, symbolizującą w rzeczywistości powrót Polaków do Ojczyzny, spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony Branickiego, który kupił je natychmiast, płacąc prawie dwukrotnie więcej niż oczekiwał autor.

W zbiorach Branickiego znalazły się także dwa bardzo szlachetne obrazki pędzla Stanisława Chlebowskiego (1835-1884), wybitnego polskiego orientalisty, nadwornego malarza sultana Abdul-Azisa w Konstantynopolu w latach 1864-1876, którego kompozycje, przedstawiające sceny z egzotycznego Wschodu, cieszyły się dużym zainteresowaniem na francuskim rynku sztuki. Obrazki z Montrésor to jednak dzieła o tematyce polskiej i patriotycznej: „Dwaj kosynierzy” z 1863 roku oraz „Jan III na łożu śmierci w Wilanowie” z 1864 roku. Malowane na niewielkich deseczkach, zwracają uwagę precyzyjną, niemal miniatorską techniką wykonania.

Nie mogło naturalnie zabraknąć w zbiorach zamkowych gwaszu jednego z najpopularniejszych artystów XIX wieku, Juliusza Kossaka (1824-1899), „Nocny widok pałacu w Wilanowie” z 1853 roku. Artysta - protoplasta licznej, niezwykle uzdolnionej i wielce zasłużonej dla sztuki i literatury polskiej rodziny - bywał chętnie w Paryżu, gdzie przyjaźnił się z Kaplińskim i Rodakowskim, co mogło go zbliżyć do Ksawerego Branickiego. Już po śmierci właściciela Montrésor trafił do zamku obraz „Ułan-legionista na koniu” z 1919 roku syna Juliusza, Wojciecha Kossaka (1856-1942), bardzo serdecznie związanego z Konstantynostwem Branickimi, u których nawet mieszkał w latach 1877-1878.

Jak więc widać, z tego krótkiego przeglądu, zbiory Ksawerego Branickiego w Montrésor nie mają tej siły i rangi, co gromadzone z wielką pasją i nierzadko przez kilka pokoleń kolekcje będące podstawą wielu zbiorów muzealnych zarówno w Polsce, jak i w innych krajach europejskich. Będąc jednak we Francji, zwłaszcza w dolinie Loary dla podziwiania wyjątkowej urody tamtejszych zamków, warto zboczyć nieco z trasy i zajrzeć do Montrésor. Tym bardziej, że gościnny zamek kryje w swych wnętrzach znacznie więcej dzieł - razem około 90 obrazów i rzeźb - w tym również polonica autorstwa artystów obcych.

Lechosław Lameriski

PS. Wszystkich chętnych zainteresowanych szczegółowymi losami Ksawerego Branickiego i jego zbiorami, odsyłam do arcyciekawej książki Andrzeja Ryszkiewicza „Polonica na zamku w Montrésor”, Poznań 1975, która posłużyła do napisania niniejszego artykułu i skąd pochodzą wykorzystane w tekście cytaty.



Szkoła powszechna ufundowana przez Ksawerego Branickiego

Muzyczny Dzień Dziecka w Lyonie

Dzień Dziecka, obchodzony w Polsce 1 czerwca, nie jest datą figurującą zwyczajowo w kalendarzach polonijnych. Tymczasem ta, niekwestionowana chyba dzisiaj przez nikogo, tradycja, może być znakomitą, i jakże miłą okazją dla najmłodszego pokolenia Polonii do uświadomienia sobie własnej polskości, do spotkania z innymi dziećmi poczuwającymi się do przynależności do tej wspólnoty. 1 czerwca najmłodsi Polacy mogą być prawdziwymi bohaterami dnia, a specyfika „dziecięcych” obchodów może pozwolić organizatorom ustrzec się od zbyt niepotrzebnego, patosu towarzyszącego tak wielu polonijnym uroczystościom.

W Lyonie pozwolono polskim i polonijnym dzieciom zagrać na Dzień Dziecka pierwsze skrzypce. Pozwolono dosłownie, bo dzięki wspólnej inicjatywie niżej podpisanej i konsula Elżbiety Sayegh, Konsulat Generalny w Lyonie zamienił się 9 czerwca (opóźnienie wynikało ze zobowiązań obu stron i licznych wolnych dni w kalendarzu francuskim) w prawdziwą salę koncertową. Grały skrzypce, fortepiany, wiolonczele, flety, trąbki, śpiewały gardła przedszkolne i harcerskie. Każdy, kto się zgłosił i miał ochotę zaprezentować swoje umiejętności, miał po temu wymarzoną okazję. Chętnych pojawiło się nadspodziewanie dużo, wiele było muzykujących rodzeństw, program liczył ponad 20 punktów. Ewa, Ania, Ola, Aleksandra, Marysia, Justynka, Aurelka, Jaś, Maksymilian sprawili, że koncert nie przypominał w niczym popisów uczniów szkół muzycznych, ani szkolnych akademii. Leopold Mozart, który powinien być patronem wszystkich rodziców dbających o muzykalność swoich dzieci, przeplatał się z jazzowymi i ragtimowymi standardami, ludowa muzyka angielska z Janem Sebastianem Bachem. Żelazna ozdoba wszystkich koncertów - „List do Elizy”,



Grają Aleksandra i Wiktor Płonka

z nowocześnie brzmiącym Rowley'em. Prawdziwe talenty i obiecujący soliści (Jaś Orkisz, Wiktor Płonka) grali obok, początkujących niemal, małych instrumentalistów, uczniowie konserwatorium państwowego obok samouków. Kto nie grał, mógł pochwalić się talentami plastycznymi. Nad wszystkimi, w otwartym oknie, w wietrze łagodzącym choć nieco panujący upał, powiewała polska flaga.

Ci, co przyszli posłuchać i popatrzeć, a nie było ich mało, wyciągnęli co najmniej dwa wnioski. A mianowicie, że przy odrobinie dobrych chęci udają się jeszcze inicjatywy zupełnie prywatne, podejmowane bez żadnego wsparcia finansowego, że współpraca z lokalnym konsulem polskim może być w takich przypadkach nie tylko pomocna, ale i niezwykle owocna. I wniosek drugi, równie ważny, że rodzice potrafią porozumieć się i spotkać ponad podziałami środowiskowymi, przyprowadzić dzieci na co dzień chodzące do różnych szkół - polskich, francuskich, międzynarodowych, muzycznych i sportowych - by na polskim gruncie stworzyć im okazję do nowych kontaktów towarzyskich, równie chyba ważnych dla młodziutkich muzyków, co kolejne doświadczenia koncertowe.

Opuszczając, już po cukierkowo-lizakowym przyjęciu i wręczeniu artystom pamiątkowych nagród, gościnne mury konsulat, organizatorzy, rodzice i czuwający nad całością od strony muzycznej oraz akompaniujący solistom Jacek Kawarski rozmawiali o... przyszłorocznym koncercie. Plany są obiecujące, ale nie będę ich przedwcześnie zdradzać. Lepiej napiszę o tym za rok.

Joanna Pietrzak-Thébault. Lyon



Nagrody wręcza Konsul Elżbieta Sayegh



Wakacje w Prowansji

18 czerwca w Szkole Polskiej w Aix en Provence odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego. W gorące niedzielne popołudnie przyszło ponad 70 osób, by obejrzeć przedstawienie będące „gwoździem programu” dorocznego święta Stowarzyszenia „Polonica”. Obecni byli m.in. konsul Elżbieta Sayegh i reprezentantka Szkoły Polskiej z Lyonu Anita Borghese oraz ksiądz Plesse, proboszcz parafii, która udziela nam swoich sałek na czas zajęć. Wszystkim serdecznie dziękujemy za przybycie i oklaski.

Bogaty program był podzielony na dwie części. Pierwsza, artystyczna, odbyła się w Centre Culturel Jean-Paul Coste, czyli dzielnicowym domu kultury. Uczniowie, nauczyciele i rodzice zaprezentowali podczas niej przedstawienie zatytułowane „Entliczek Pentliczek”, które mogłoby też nazywać się „dla każdego coś miłego”. Były w nim i piosenki, i tańce, i polskie wiersze, byli gitarzyści i pianistki. Publiczności najbardziej podobały się śliczne krakowiaki i weseli krakowiacy, tańczący i śpiewające znane polskie piosenki. Niektórych wzruszyła deklamacja „Pani Twardowskiej” i pięknie zagrany polonez Fryderyka Chopina. A aktorzy najbardziej byli zadowoleni z tego, że występują na prawdziwej scenie z kurtyną.

Dla uczniów bardzo ważne było rozdanie świadectw i nagród książkowych - przecież to kulminacja całorocznej, cotygo-

dniowej pracy. Wprawdzie tego roku szkolnego nie mogliśmy zakończyć rozdaniem świadectw z polskiego Ministerstwa Edukacji Narodowej, ale zastąpiły je nasze, ze znakiem stowarzyszenia. Staramy się o uznanie naszej działalności przez Ministerstwo i mamy nadzieję, że nastąpi to we wrześniu.

Po części artystycznej wszyscy przenieśliśmy się do sal i ogrodu przy Szkole Polskiej. Tam, oprócz wspólnego pieczenia kiełbasek, miała miejsce aukcja dziecięcych prac, z której dochód zostanie przeznaczony na zakup tablic szkolnych, a także sprzedaż polskich książek przez objazdową księgarnię z Lyonu. Dopiśa piękna pogoda, a atmosfera była bardzo miła.

Nowy rok szkolny rozpoczniemy 13 września. Dołączą do nas nowi uczniowie, więc z nadzieją czekamy na zgodę MEN na otwarcie klas nauczania na odległość (raz w miesiącu), przy współpracy ze Szkołą Polską w Paryżu, która udostępni nam podręczniki do pracy tego typu.

Do zobaczenia jesienią.

Magdalena Guilhou

kierowniczka Szkoły Polskiej w Aix en Provence

Polonica Association Franco-Polonaise en Provence
Le Ligoures
5, place Romee de Villeneuve
13090 Aix en Provence
tel. /fax 04 42 21 99 65

Otwarcie cmentarza polskich oficerów w Katyniu Zbrodnia musi być rozliczona

W lesie katyńskim koło Smoleńska (Rosja) odbyła się w piątek, 18 sierpnia, uroczystość otwarcia i poświęcenia cmentarza ponad 4400 oficerów Wojska Polskiego zamordowanych wiosną 1940 roku przez NKWD.

Na uroczystości przybyła z Polski ośmiusetosobowa reprezentacja Rodzin Katyńskich, kombatanów i wojska. Oficjalnym delegacjom państwowym przewodniczyli premier rządu polskiego Jerzy Buzek i wicepremier rządu Federacji Rosyjskiej Wiktor Christienko. Przybyli marszałkowie Senatu Alicja Grześkowiak i Sejmu Maciej Płażyński, ministrowie: spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, obrony narodowej Bronisław Komorowski, kultury Kazimierz Michał Ujazdowski i sprawiedliwości Lech Kaczyński. Aleksandra Kwaśniewskiego reprezentowała szefowa kancelarii prezydenta RP Jolanta Szymanek-Deresz. Obecni byli ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski i prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” prof. Andrzej Stelmachowski.

Licznie reprezentowane było stowarzyszenie Polaków stale mieszkających w Smoleńsku i obwodzie smoleńskim - Dom Polski. Stanisława Afanasjewa, która od 10 lat kieruje Domem Polskim (na przekór nazwie, stowarzyszenie jest bezdomne i korzysta z pomieszczeń parafii katolickiej) powiedziała, że miejscowi Polacy opiekują się katyńskim cmentarzyskiem i bardzo pomagali przy budowie nekropolii. Po uroczystościach premier Buzek i członkowie oficjalnej delegacji spotkali się z Polonią smoleńską i odwiedzili zbudowaną



Marszałek Senatu RP A. Grześkowiak

fot. J. Gruszyński



przez nich kaplicę (parafia od 10 lat bezskutecznie zabiega u miejscowych władz o zwrot świątyni katolickiej, wybudowanej na początku wieku głównie przez Polaków ze Smoleńska).

Obok polskiego cmentarza wojennego, w tym samym lesie katyńskim, jest nekropolia około 10 tysięcy obywateli ZSRR, w tym także kilkuset Polaków, mieszkańców ziemi smoleńskiej, wymordowanych przez NKWD głównie w latach 1937 - 1938 (ale zbiorowych egzekucji w tym miejscu bolszewicki aparat terroru dokonywał już od czasu rewolucji 1917 roku).

- Jednych i drugih, oficerów polskich oraz Rosjan, Ukraińców, Żydów i obywateli Związku Radzieckiego innych narodowości, w tym naszych rodaków, połączyła na zawsze zadana skrycie tą samą ręką śmierć i smoleńska ziemia, w której spoczęli; miejsce pamięci i pojednania - powiedział Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który prowadził negocjacje z władzami Rosji w sprawie zgody na urządzenie cmentarza, a następnie kierował jego budową. Masowe groby obywateli radzieckich w Katyniu odkrywały i badały przede wszystkim polskie ekipy prowadzące poszukiwania miejsc kaźni i pogrzebani polskich oficerów, a rosyjski cmentarz został wybudowany także dzięki staraniom polskiej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dziękowali za to Polakom gubernator Smoleńska i prawosławny metropolita Pantelejmon, który poświęcił rosyjskie mogiły. Na jego zaproszenie odmówił nad nimi modlitwy także kardynał Józef Glemp.

Uroczystość w polskiej części kompleksu cmentarnego w lesie katyńskim rozpoczęła się od wojskowej ceremonii powitania oficjalnych delegacji i odegrania hymnów państwowych Polski i Rosji.

Zwierzchnicy wojskowych duszpasterstw, katolickiego, prawosławnego i ewangelicko-augsburskiego, a także przedstawiciele religii żydowskiej i muzułmańskiej odmówili modlitwy związanej z ceremonią poświęcenia cmentarza. Prymas Polski przewodniczył następnie Mszy świętej, którą koncelebrowali z nim m.in. biskup polowy Wojska Polskiego Sławoj Leszek Głódź i kapelan

Rodzin Katyńskich, ocalony z kaźni w Katyniu, były jeniec obozu w Kozielsku, ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, oraz ojciec Ptolemeusz Jacek Kuczmik, proboszcz parafii rzymskokatolickiej w Smoleńsku, franciszkanin z polskiej prowincji zakonu. W homilii Prymas mówił, że trzeba, aby katyński cmentarz oddziaływał wychowawczo. - Na to go święcimy, aby był znakiem pokoju i współpracy między narodami. Z dołów śmierci powinno tryskać źródło prawdy o człowieku. Kończący się wiek XX przyniósł niesłychanie dużo niesprawiedliwości, pochodzących od nieludzkich ideologii. To, co się stało tu, w Katyniu, i w innych podobnych miejscach, nie może się powtórzyć już nigdy i nigdzie - mówił kardynał Glemp.

Wicepremier rosyjski Wiktor Christienko powiedział: - My, Rosjanie, dobrze rozumiemy uczucia Polaków, związane z Katyniem. W tej smoleńskiej ziemi spoczywa cztery i pół tysiąca polskich oficerów, ale legły także dziesiątki tysięcy naszych rodaków, tak samo jak Polacy niewinnych ofiar skrytobójstwa i totalitarnego terroru. Ale pragniemy, by w imię lepszej wspólnej przyszłości rosyjskie nazwy Katyń i Miednoje stopniowo traciły swą złowrogą dla Polaków wymowę. Podczas takich uroczystości, jak dzisiejsza, nie tylko odczytujemy karty historii, ale - co może ważniejsze - uspokajamy nasze dusze, aby ze spokojem móc patrzeć w przyszłość stosunków polsko-rosyjskich.

- Nie ma w nas, Polakach, głębszej rany, która goiłaby się tak długo - mówił premier Jerzy Buzek - Katyń bowiem to nie tylko ohydna zbrodnia wykonana w majestacie sowieckiego prawa, to również kłamstwo. Kłamstwo powtarzane tysiące razy, które mimo to pozostało kłamstwem. Na całe pokolenia słowo „Katyń” w Polsce i na całym świecie pozostanie znakiem ludobójstwa i zbrodni wojennej. Chcę powiedzieć w imieniu Narodu Polskiego, że nie spoczniemy, dopóki nie poznamy wszystkich nazwisk obywateli Rzeczypospolitej zamordowanych przez władze sowieckie i nie ustalimy miejsc ich pochówku. Nie czynimy tego z zemsty, ale z poczucia sprawiedliwości. Należy również do niej pojęcie kary za

Zagłada polskich oficerów w ZSRR

Po agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 roku do niewoli radzieckiej dostało się nie mniej niż 250 tysięcy jeńców polskich; mniej więcej połowę rychło uwolniono, a 125 tysięcy uwięziono w obozach NKWD. Spośród tych jeńców trzy grupy liczące po około 40 tysięcy ludzi: - zwolniono do domów, - przekazano niemieckim okupantom Polski oraz - zesłano do obozów pracy w przemyśle ciężkim na wschodzie Ukrainy, do budowy dróg, a także do leśnych łągów koło Archangielska i na północnej Syberii.

15.500 jeńców uwięziono w trzech obozach oficerskich - w Starobielsku na wschodniej Ukrainie, w Kozielsku - 250 km na południowy wschód od Smoleńska i w Ostaszkowie na północy europejskiej części Rosji.

5 marca 1940 roku na wniosek Ławrentija Berii pięciu członków Biura Politycznego KC Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) z Józefem Stalinem na czele nakazało NKWD zgładzić 15 tysięcy jeńców przetrzymywanych w trzech wymienionych obozach: oficerów Wojska Polskiego, Korpusu Ochrony Pogranicza, żandarmerii, policji, wywiadu, kontrwywiadu, służby więziennej, a także 10 tysięcy innych funkcjonariuszy państwa polskiego, trzymany w więzieniach na zagarniętych przez ZSRR wschodnich terenach II RP.

Od 3 kwietnia do 14 maja 1940 roku NKWD przeprowadziło akcję likwidacji trzech oficerskich obozów jenieckich, którą przyjęło się nazywać, od miejsca najwcześniej odkrytych masowych grobów, zbrodnią katyńską.

- około 4400 jeńców obozu w Kozielsku zamordowano i pogrzebano w lesie katyńskim koło Smoleńska („Katyń. Księga cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego” wydana przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa wylicza imiennie 4406 ofiar mordu w Katyniu).

- około 3800 jeńców obozu w Starobielsku zamordowano w Charkowie i pogrzebano w pobliskich Piatichatkach.

- około 6300 jeńców obozu w Ostaszkowie zamordowano w Twerze (wówczas Kalinin) i pogrzebano w Miednoje.

- 7305 obywateli RP NKWD zamordowało na wiosnę 1940 roku w więzieniach na terenach Zachodniej Białorusi (3870 osób) i Ukrainy (3435 osób); miejsca śmierci i pogrzebani tych ofiar pozostają nieznane.



zbrodnie - mówił polski premier. - Zbrodnia katyńska musi być w pełni wyjaśniona. Musi być również w pełni rozliczona.

W podobnym duchu wypowiedział się występujący w imieniu Rodzin Katyńskich Ryszard Rudziński. - Dziś kończy się etap budowy cmentarza katyńskiego, ale to nie jest koniec sprawy katyńskiej. Nie przestaniemy pytać, gdzie są groby ponad siedmiu tysięcy ofiar tego samego zbrodniczego rozkazu.

Obaj mówcy dziękowali tym Rosjanom, którzy przyczynili się do ujawnienia prawdy o tej zbrodni i do godnego pochowania jej ofiar: Stowarzyszeniu Memoriał, państwowemu komitetowi upamiętnienia zbrodni katyńskiej, niezależnym historykom i dziennikarzom, władzom Smoleńszczyzny.

Kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego oddała honory wojskowe poległym oficerom. - Z poczuciem spełnionej powinności - jak powiedziała marszałek Senatu Alicja Grzeszkowiak, składała wieńce przed ścianą pamięci, na której wyryto wszystkie znane nazwiska poległych, i pod imiennymi indywidualnymi tabliczkami, a także na sześciu zbiorowych i dwóch generalskich mogiłach oraz na - zaznaczonych przez projektantów cmentarza, rzeźbiarzy Zdzisława Pidlka i Andrzeja Sołtyga - dawnych dołach śmierci, przykrytych żeliwnymi płytami. Architektura tej nekropolii stała się w ten sposób trwałym świadectwem - przewyższonego wreszcie, po sześćdziesięciu latach - kłamstwa katyńskiego.

Andrzej Kaczyński



Cmentarzysko w Katyniu

Akcja „rozładowania” obozu kozielskiego trwała od 3 kwietnia do 12 maja 1940 roku. Z ponad 4600 jeńców darowano życie zaledwie dwustu, przeniesionym do więzienia w Moskwie i obozów w Pawliszczew Borze i w Griażowcu. Pozostałych w stuosobowych grupach przetransportowano kolejną okolo 250 km do stacji Gniezdowo koło Smoleńska. Stamtąd samochodami milicyjnymi, „czarnymi wronami” - do uroczyska Kozie Góry w lesie katyńskim na skarpie Dniepru, w pobliżu ośrodka wczasowego NKWD. Większość rozstrzeliwano w lesie, nad przygotowanymi wcześniej dołami. Część prawdopodobnie w piwnicach domu wypoczynkowego. Ciała zamordowanych wrzucono do ośmiu dołów śmierci. Na cmentarzysku posadzono, dla zamaskowania, drzewa.

Wojska niemieckie zajęły Katyń 27 lipca 1941 roku, ale dopiero w lutym następnego roku wpadły na ślad zbrodni NKWD. 13 kwietnia 1943 roku radio niemieckie ogłosiło o znalezieniu masowych grobów oficerów polskich w lasu katyńskim pod Smoleńskiem. Na wiosnę 1943 roku komisja niemiecka dokonała, w obecności ekspertów Polskiego Czerwonego Krzyża oraz lekarzy sądowych z kilku państw okupowanych przez Niemcy (przymusowymi świadkami rozkopywania „dołów śmierci” bywali też jeńcy alianccy i kilkudziesięciu Polaków), ekshumacji i autopsji 4243 zwłok z siedmiu dołów zupełnie opróżnionych i ledwie napoczętego ósmego. Po zakończeniu badań ekipa PCK urządziła prowizoryczny cmentarz; pochowała szczątki w sześciu masowych mogiłach i dwóch indywidualnych - generałów Mieczysława Smorawińskiego i Bronisława Bohaterewicza - i ustawiła na nich krzyże.

Niezwłocznie po odbiciu Smoleńska przez Armię Radziecką krzyże i groby na cmentarzu PCK zostały zniszczone. W styczniu 1945 roku żołnierzom dywizji generała Zygmunta Berlinga pokazano - nie wiadomo, czy prawdziwe - dwie zbiorowe mogiły. W styczniu i na wiosnę 1945 roku komisja akademika Nikołaja Burdenki, która miała nie odkryć, ale ukryć prawdę o zbrodni, ponownie ekshumowała około tysiąca zwłok i usunęła z ósmego dołu wszystko, co mogłoby wskazywać na datę dokonania mordy. W późniejszych latach groby buldożerami zrównano z ziemią. Posadzono nowy las. W latach pięćdziesiątych w lasu katyńskim stał podobno niewielki obelisk i drewniany krzyż. W sześćdziesiątych - pomniczek z kłamliwym, oskarżającym Niemców o zbrodnię, napisem. W połowie lat 70. usypano dwie fałszywe mogiły. W 1988 roku cmentarzysko ogrodzono i uporządkowano; pierwsza oficjalna delegacja Rodzin Katyńskich ustawiła krzyż przywieziony z Polski, dar prymasa Józefa Glempa.

W 1991 roku na zlecenie Prokuratury Generalnej ZSRR w lasu katyńskim prowadzono sondażowe wykopy i odwierty. Polskim ekspertom władze ZSRR pozwoliły na badania sondażowe dopiero w 1994 roku. W 1995 roku udzieliły zgody na całościowe zbadanie cmentarzyska i pełną ekshumację oraz na budowę Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu; w czerwcu tego roku prezydent Lech Wałęsa wmurował kamień węgielny i akt erekcyjny tej nekropolii. Po zakończeniu ekshumacji, szczątki ofiar zbrodni katyńskiej zostały ostatecznie złożone w sześciu zbiorowych i dwóch indywidualnych mogiłach. Budowę cmentarza rozpoczęto w maju 1999 roku.



Przekazanie bandery ORP „Sęp”

14 lipca br. w Gdyni, na pokładzie historycznego okrętu - muzeum ORP „Błyskawica”, odbyła się niecodzienna, wzruszająca i symboliczna uroczystość przekazania Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni oryginalnej bandery ORP „Sęp”, okrętu zbudowanego ze składek rządu, społeczeństwa i młodzieży polskiej II Rzeczypospolitej.

Bandere, uważaną w Kraju za zaginioną, z inicjatywy inż. Stanisława Garczyńskiego, wybitnego działacza KPA, który ją przechowywał od 1988 roku, przekazał w imieniu Kongresu Polonii Amerykańskiej - Oddział stanu Teksas prof. Zbigniew An-

toni Kruszewski z Uniwersytetu w El Paso, żołnierz AK i długoletni działacz KPA.

Na uroczystość oficjalnego przekazania bandery ORP „Sęp”, która wisała od 1940 roku w Domu Polskim w Houston, Marynarkę Polską reprezentował adm. Ryszard Łukasik, komandorowie, dyrektor Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni kom. por. Zbigniew Wojciechowski oraz liczna grupa Ludzi Morza, szczególnie „podwodniaków” w służbie czynnej i weteranów II wojny światowej. Podczas uroczystości odbyła się promocja najnowszej książki o Marynarce Wojennej II RP 1918-1945.

W krótkim przemówieniu prof. Z. A. Kruszewski podkreślił trójwymiarowe znaczenie tego aktu i tej uroczystości: 1) fakt, że oryginalna bandera wraca do bazy macierzystej - Gdyni i wolnej III RP, 2) symboliczny wymiar emocjonalnego zaangażowania w ten akt Polonii Amerykańskiej, która sercem i wszechstronną pomocą zawsze stała, stoi przy narodzie polskim i broni jego interesów, przechowując drogie pamiątki historyczne walki o wolność oraz 3) personalny aspekt - tak wzruszający dla mówcy - konstruktorem „Orla” i „Sępa” był w Holandii w 1937-39 Kazimierz Leski, niedawno zmarły bohater Państwa Podziemnego (kurier podróżujący po Rzeszy w mundurze generała SS), niezwykle skromny dowódca prof. Kruszewskiego „Bradł”, dowodzący kompanią na ul. Frascati w czasie Powstania Warszawskiego w batalionie „Miłosz” zgrupowania „Sławbor”.

Bandere po przekazaniu dowódcy Marynarki Wojennej adm. Łukasik pocałował i przekazał kom. por. Wojciechowskiemu, dyr. Muzeum Marynarki Wojennej. Adm. Łukasik przekazał na ręce prof. Kruszewskiego jedną z bander ORP „Błyskawicy”, która odąd wisieć będzie w historycznym 75-letnim Domu Polskim w Houston w stanie Teksas.

Francuskie przymierze i szwajcarski ślad

„Ze wszystkich nędz najstraszniejsze ludzkie zapomnienie” (J. Słowacki)

W majowe dni przychodzi na pamięć odległe wydarzenia związane z Konstytucją 3 Maja, emigracyjnymi czynami Tadeusza Kościuszki we Francji, Ameryce, Szwajcarii oraz mniej znane epizody wojenne z roku 1940, kiedy to Paryż po raz drugi pełnił rolę stolicy Polski. Pierwszy raz pełnił tę funkcję po upadku Powstania Listopadowego, kiedy blisko 10 tys. uchodźców na ziemi francuskiej znalazło możliwość życia i kontynuowania walki o niepodległość. Znany te wydarzenia pod ogólną nazwą Wielka Emigracja, a jej najpełniejszy obraz ma paryska Biblioteka Polska, najstarsza nasza placówka utworzona poza krajem. Po wtargnięciu Niemców do Polski władze suwerennej Rzeczypospolitej ukonstytuowały się w Paryżu i w maju 1940 roku osiemdziesięciotysięczna armia polska pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego stanęła u boku Francji, by pod hasłem „Za waszą i naszą wolność” pomaszerować do Polski. W kraju mówiono wówczas „Im słońceko



Granica w Gourmols - tędy przechodzili do Szwajcarii żołnierze 2. Dywizji Strzelców Pieszych

fol. B. Rączkowski



Pomnik w Goumois

wyżej, tym Sikorski bliżej". Niespodziewana kapitulacja Francji podkopała naszą wiarę w sojusze, ale z pomocą pospieszyła Wielka Brytania i już 26 czerwca 1940 roku odbyło się w Londynie pierwsze posiedzenie rządu RP, a po paru dniach ukazały się gazety: „Dziennik Żołnierza” i „Dziennik Polski”.

Niedawno młody naukowiec francuski, Yves Beauvois - syn znanego historyka zajmującego się Polską, szczególnie dawnymi Kresami - w książce pod zmiennym tytułem „Stosunki polsko-francuskie w czasie <dziwnej wojny>” odsłonił kulisy zdarzeń z lat 1939-40. Ale dramatyczny obraz tamtych wydarzeń przenoszą do młodszych pokoleń uczestnicy francuskiej batalii, żołnierze i oficerowie: 1. Dywizji Grenadierów, której dowódcą był Stanisław Maczek, a później Bronisław Duch, walczący mężnie w Alzacji i Lotaryngii, 10. Brygady Kawalerii Pancerniej gen. Maczka, Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, którzy najpierw wojowali w Norwegii, Brygady Strzelców-Karpackich (w posiadłościach francuskich), lotnicy, marynarze i 2. Dywizji Strzelców Pieszych pod dowództwem gen. Bronisława Prugara-Ketlinga, która po walkach ostatecznie cofających się Francuzów i w zwartym szyku 20 czerwca przekroczyła granicę francusko-szwajcarską w Goumois.

fol. B. Rączkowski

znaczni zostali Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski. Natomiast wystawa „Polskie ślady w Szwajcarii”, przygotowana pod patronatem prezydentów Polski i Szwajcarii, a zaprezentowana w starym ratuszu miejskim, uprzytomniła zebranych tę niezwykłą historię. Mała, neutralna Szwajcaria nie zawahała się przyjąć 13 tysięcy żołnierzy i oficerów, zapewniając im nie tylko godziwe warunki życia, lecz i możliwość kontynuowania nauki w szkołach, studia na wyższych uczelniach, pracę w rolnictwie i przemyśle. Ale Polacy - jak mówił w Warszawie ambasador Szwajcarii, Paul A. Ramseyer - odpłacili się Szwajcarii stokrotnie. Pracowali we wszystkich kantonach, na budowach, na roli, w rzemiośle i fabrykach, w kopalniach i hutach, przy budowie dróg i mostów, karczowaniu lasów i regulacji rzek. Mówi się o 9 milionach dni pracy. Z inicjatywy osiadłego w Szwajcarii dr Jerzego Ruckiego trwa teraz akcja oznakowania miejsc, w których pracowali Polacy, zwłaszcza wysokogórskich dróg i odnawiania wzniesionych wcześniej przez żołnierzy kaplic, krzyży i innych znaków dawnej obecności. Do wzruszających pamiątek pozostawionych przez naszych wielkich - Mickiewicza, Słowackiego, Kościuszkę, Sienkiewicza, do znanych miejscowości jak Solura, Lozanna, Vevey, Rapperswil dochodzą nowe ślady polskiej obecności na ziemi Helwetów. Pobyt we Fryburgu pozwolił zapo-

Nowy szwajcarski ślad

Praktyczni i zapracowani Szwajcarzy zorganizowali 6 maja w Lucernie potrójną uroczystość - obchody 3 Majowe, 55-lecie zakończenia wojny i 60-lecie internowania 2 Dywizji - na którą przyjechała z Polski delegacja byłych żołnierzy 2 DSP, kombatan- ci ze Wschodu i przedstawiciele Wojska Polskiego. Mszę świętą w miejscowym kościele Jezuitów odprawił arcybiskup Edmund Piszczyński, metropolita warmiński, a tuż po Mszy czterech kombatan- ci, zarazem działacze polonijni, Jan Bem, Zbigniew Płaskowski, Jerzy Rucki i Henryk Węgier od-

Odznaczeni kombatan- ci i działacze polonijni: J. Rucki, J. Bem, Zb. Płaskowski i H. Węgier

fol. B. Rączkowski





Cmentarz w Damprichard - hołd poległym Polakom

znać się z pracą Polskiej Misji Katolickiej powołanej do życia na I Kongresie Polonii Szwajcarskiej w 1950 roku i działalności Ojca Innocentego M. Bocheńskiego, który zapoczątkował budowę polskiego kościoła we Fryburgu. Jest to jedyny polski kościół w Szwajcarii i tutaj odbędą się w październiku, obchody 50-lecia Misji z udziałem ks. kardynała Józefa Glempa, Prymasa Polski i duszpasterza Polonii, arcybiskupa Szczepana Wesołego.

Stare i nowe przymierze francuskie

O armii polskiej we Francji pisał parokrotnie w „Almanachu Polonii” nieodżałowanej pamięci Krzysztof Klinger. Dziś mamy na ten temat obszerną literaturę, ale podróż z kombatantami przez pola bitewne, usytuowane w górach miasteczka, nadaje opisom dramatyczniejszy wyraz. I w odróżnieniu od Szwajcarii inna atmosfera, bo w każdym miasteczku - Goumois, Montbéliard, Damprichard - współgospodarzami spotkań byli „starzy” i „nowi” Polacy, wielopokoleniowe rodziny zakorzenione już na ziemi francuskiej i merowie miasteczek, którzy od dawna współżyją z Polakami. Poświęcali więc gościom więcej czasu i starań. Prezes kombatantów Henryk Piwko i Pani Kazia Pagnot znali przybyłych z Polski wojaków, gościli już ich w swoich domach, toteż dogadzali gościom na każdym kroku, a zespół „Mazurka” - choć składał się w przewadze z Francuzów - przeniknięty jest duchem polskim i dawał koncerty jak na rzeszowskim festiwalu. Miło było patrzeć jak elegancka dama, mer Goumois, Jeanne M. Taillard, z zakasanyimi rękawami sukni doglądała kuchni i podawała jadło do stołu, choć szamanczy osiemdziesięciolatkiem próbowali ją wyreć. Oficjalne ceremonie na miejskich placach, nabożeństwa odprawiane po polsku i francusku, uroczystości na cmentarzach, pod pomnikami poległych i przy tablicach rozstrzelanych przez Niemców żołnierzy, przeplatane były przyjacielskimi spotkaniami z miejscowymi Polakami i przedstawicielami władz francuskich. Niech dla potomnych, na wieczną rzecz pamiętkę pozostanie to, co mówił prezes Henryk Piwko na cmentarzu w Damprichard, przy pomniku nagrobnym 59 żołnierzy, podoficerów i oficerów poległych w czerwcu 1940 roku: „Byli oni kolegami walk obecnych tutaj kombatantów z Polski, którzy przybyli,

by złożyć im hołd. Udział Polaków przy armii francuskiej był wielki: 80 tysięcy mężczyzn. Część stanowili żołnierze, którzy opuścili Polskę, by kontynuować walkę we Francji, a obok nich byli emigranci polscy z Francji, zmobilizowani przez rząd francuski na podstawie porozumienia między dwoma rządami. Bilans tej walki to cztery tysiące poległych, pięć tysięcy rannych, piętnaście tysięcy uwięzionych przez Niemców, trzysta tysięcy internowanych w Szwajcarii. Dali z siebie wszystko, niektórzy nawet życie i dlatego składamy im teraz hołd. Polegli za Francję i Polskę, za przyjaźń polsko-francuską. Niech ta przyjaźń żyje wiecznie”. Dobrze się stało, że w niektórych uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele placówek dyplomatycznych - ambasady w Bernie, konsulatu w Lyonie oraz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” - bo to nadawało wojennym ceremoniom szerszy wymiar państwowy i polonijny, a kombatantkie kontakty przeradzają się teraz we współpracę miast - Lucerna np. za swego partnera wybrała Cieszyn - i owocują wymianą młodzieży szkolnej i podróżami turystycznymi. Jest nadzieja, że przeszłość nie zasklepi się w kostycznym wojennym wspomnieniu, ale też nie utonie w studni ludzkiego zapomnienia.

fol. A. Panecka

Bohdan Rączkowski



Pomnik bohaterów wojennych w Damprichard

fol. A. Panecka



Goście jubileuszu - p. I. Andersowa, pp. Ujazdowscy, prezydent R. Kaczorowski

Jubileusz



Prezes Fundacji T. Walczak z małżonką



Redaktor naczelna "Dziennika Polskiego" K. Bzowska
i Nadredaktor A. Czyżowski w kulisach



Słowa uznania ministra kultury i dziedzictwa narodowego
K. M. Ujazdowskiego

W niedzielę 16 lipca w Sali Teatralnej POSK-u odbył się uroczysty jubileusz 60-lecia „Dziennika” i 40-lecia „Tygodnia Polskiego”. W uroczystości udział wzięli m. in.: prezydent Ryszard Kaczorowski, delegacja Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP z ministrem Kazimierzem Michałem Ujazdowskim na czele, konsul generalny Tomasz Trafas, rzecznik prasowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Agnieszka Panecka oraz prezesi polskich organizacji działających w Wielkiej Brytanii; przybyli też licznie wierni czytelnicy pism. Uroczystość prowadził prezes PFK Tadeusz Walczak. W poszczególnych wystąpieniach przypomniano historię „Dziennika” i „Tygodnia” oraz rolę spełnianą przez te pisma. Przedstawicielka „Wspólnoty Polskiej” wręczyła pamiątkowe dyplomy Stowarzyszenia dyrektorom Fundacji i redaktorom obu tytułów. Srebrne medale „Wspólnoty Polskiej” otrzymali: redaktor naczelna „Dziennika” K. Bzowska oraz prezes Związku Dziennikarzy Polskich na Obczyźnie redaktor Andrzej Czyżowski. Następnie odbyła się promocja książki wydanej z okazji jubileuszu „Dopóki Jest Dziennik - jestem”, którą poprowadził

Jan Krok-Paszkowski, a fragmenty książki czytali: St. Gołębiowski i T. Ujazdowski. Katarzyna Bzowska, redaktor książki, opowiedziała o pracy nad nią, zaczynając od stwierdzenia: „Ta książka powinna ukazać się 10 lat temu, na 50-lecie Dziennika, kiedy jeszcze żyli ci, którzy

to pismo tworzyli i byli z nim związani przez lata”. Ponadto odbył się kermasz książek Polskiej Fundacji Kulturalnej, a także ciągnięcie losów loterii, z której dochód przeznaczony został na fundusz wydawniczy.

tekst i zdjęcia - A. Panecka



Kolacja Powierników - pp. A. i Cz. Zychowiczowie i W. Moszczyński; na pierwszym planie T. Ujazdowska, redaktor naczelna „Tygodnia”

A jak to w Bletchley było...

Liczba zwiedzających Bletchley Park w niedzielę, 23 lipca br., doszła prawie do dwóch tysięcy!

Był to taki dość typowy dzień angielskiego lata, dużo chmur i szarości, chłodno, z kilkoma kropkami deszczu. Smutna pogoda nie zepsuła jednak humorów przeszło tysiącu Polakom świętującym w Bletchley Park z okazji Drugiego Festiwalu Polskiego. To samo odnosi się zresztą do kilkuset Brytyjczyków. Wąskie korytarze Faulkner House nie mogły pomieścić wszystkich, którzy chcieli zobaczyć uroczyste otwarcie nowej polskiej sali na „kryptologicznym traku”. Oficjalne przecięcie białoczerwonej wstęgi przez ministra Witolda Sobkova, przy asyście sir Philipa Dunsmore'a z Bletchley Park Trust, attache wojskowego płk. Andrzeja Adamowicza i konsula generalnego RP Tomasza Trafasa wraz z panią Zygalską Cannon, bratanicą jednego z naszych kryptologów, odbyło się w bardzo godny sposób. Ci, którzy nie byli w stanie docisnąć się, by zobaczyć przecięcie wstęgi, mogli jednak obejrzeć polską salę wkrótce po jej formalnym otwarciu.

Wielu gości skorzystało ze spacerów z polsko- lub angielskojęzycznymi przewodnikami, inni zwiedzali Park na własną rękę. Oznakowanie terenu, choć bez porównania lepsze niż w zeszłym roku, okazało się jednak niewystarczające. To jeden z elementów organizacyjnych, które w przyszłym roku musimy polepszyć; jak również należy zwiększyć i usprawnić obsługę punktów gastronomicznych. Bo choć to było polskie i smaczne jedzenie, zaspokoić o apetyty tych, którzy uzbrojeni w cierpliwość doczekali się wreszcie obsługi.

Na tle głównego Mansion House, ozdobionego na tę okazję flagami polską i angielską, odbywały się ćwiczenia ulanów „Imperiale”.

Od czasu do czasu na tym malowniczym tle przemylała nie mniej malownicza postać na hulajnodze. To koordynator festiwalu, pani Maria Kruczkowska Young, pędząca w misjach koordynacyjnych pomiędzy ogniwami festiwalowymi. Kilkanaście metrów od Mansion House, w Stableyard, strumień zwiedzających zahaczał o doskonałą wystawę „Polska od Enigmy do NATO”, a w głębi, w drodze do Faulkner House, podziwiał rozwieszane na ogrodzeniu kortów tenisowych wspaniałe plakaty profesora Szaybo. Rozmach i odwaga plakatów zapierała dech, szczególnie tym starszym z nas. Na szczęście niewielu potrzebowało pomocy polskiego St. John Ambulance, ale przyjemnie było zobaczyć eleganckie mundury strażników naszego zdrowia, gotowych przyjąć z pomocą w każdej chwili. Sto pięćdziesiąt metrów dalej, w drodze do Faulkner House, gdzie umiejscowiona była kawiarnia z przeświecnymi pączkami i ciastami, brzmiała skoczna polska muzyka ludowa, a na specjalnie ustawionym na trawie podium śmigały pary cudownych maluchów z „Karolinki” oraz doskonale prezentowały się zespoły „Tatry” i „Wawel”.

O trzeciej po południu muzyka ustała i zmienił się nastrój. Miejscowy ksiądz angielski Fr. O'Driscoll, wraz z odwiedzającym Bletchley polskim księdzem Grzegorzem Matyssem ze Slough, odprawili dla około pięciuset wiernych połowę Mszy św. Niespodziewanie silny wiatr nie pozwolił na właściwy wystrój ołtarza, co nie przeszkodziło jednak uroczystemu nastrojowi wiernych skupionych w modlitwie. Ta łączność z katolicką parafią w Bletchley z pewnością pomocna będzie w organizowaniu przyszłych festiwali.

W halach, pięćdziesiąt metrów na prawo od kortów tenisowych, witały odwiedzających cudne zapachy polskich produktów



żywnościowych. Chleb i bułeczki-kajzerki prosto z Polski, znakomity wybór wędlin, śledzi, zup - można by wymieniać w nieskończoność. Głębiej, na oścież otwarte drzwi prowadziły do stawy duchowej: polska prasa, polska książka, polskie wyroby artystyczne i ludowe, piękne ręcznie malowane szale. Były również wystawy naszych głównych sponsorów: Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii i Biura Informacji, a obok filmy i materiały Polish National Tourist Office.

W domku numer 4 przez cały dzień pokazywany był film „A Forgotten Odyssey”. Wiele byłych Sybiraków wyszło z projekcji ze łzami w oczach. Z uśmiechem na twarzy natomiast opuszczali salę kinową w Faulkner House widzowie filmu „Letter to Po-

land”. Och, jak przyjemnie było zobaczyć siebie i znajomych z burzliwych czasów „Solidarności” przed dwudziestu laty!

Dużo się działo i wiele można było zobaczyć w Bletchley Park, ale nie na wszystko starczyło czasu. Chyba tylko Marysia na swojej hulajnodze zdołała wszystko obejrzeć, dojrzeć i wyrazić aprobatę. Była to impreza naprawdę na wielką skalę. Bez trośki pani Marii Kruczkowskiej Young i jej doskonałych młodych pomocników, z pewnością nie wyszłoby tak dobrze. Wiele osób włożyło w nią moc wysiłku, oprowadzając, malując, nosząc, rozstawiając stoły... Wszystkim im za to serdecznie dziękuję. Dziękuję również naszej polskiej prasie: „Dziennikowi” i „Tygodniowi Polskiemu” oraz „Gazecie Niedzielnej” za współpracę w rozreklamowaniu imprezy. Dziękuję za

pomoc „Wspólnocie Polskiej”, Polish National Tourist Office, PAFTowi, Funduszu Grabowskiego, SPK, podziękowania: także dla Biura Ekonomicznego przy Ambasadzie, Konsulatu Generalnego RP, Cdra House oraz dla Jurka Pokerta za pomoc w nagłośnieniu i dla wielu innych. Dziękuję również wszystkim, którzy ogłaszali się w naszym „Bletchleyowskim” dodatku do „Dziennika Polskiego” oraz tym, którzy w jakikolwiek sposób nam pomagali. Przede wszystkim zaś dziękuję naszym droгим gościom za przybycie do Bletchley. Przepraszam za niedociągnięcia i mam nadzieję, że znów z uśmiechem spotkamy się w Bletchley w lipcu przyszłego roku. Jakiś dzień wysłam podanie o słoneczniejszą pogodę. Do zobaczenia.

Jan Mokrzyński

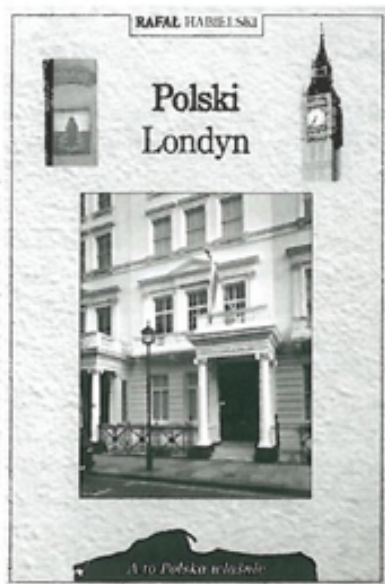
Polski Londyn

Na polskim rynku ukazała się książka, która wypełnia dotkliwą lukę w naszej wiedzy o wkładzie Polaków w życie Brytyjczyków. Praca Rafała Habielskiego jest ponadto hołdem złożonym tym, którzy przez 50 lat trwali wierni wartościom wyniesionym z ojczyzny. Tytuł książki „Polski Londyn”, zdaniem autora - historyka zajmującego się dziejami emigracji po II wojnie światowej - można definiować dwójako. Dosłownie jako miasto, w którym osiedlali się Polacy, tworząc swoje instytucje, uczestnicząc w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym, ale można ten tytuł definiować nieco metaforycznie. Polski Londyn to przede wszystkim sposób myślenia, to stosunek do Polski, to sposób bycia i funkcjonowania poza krajem, to postawa emigranta politycznego, co, w konsekwencji stworzyło kanon zachowań emigracji. Określenie „niezłomny” czy „Londyńczyk” określało tych, którzy zawsze i wszędzie przypominali, dlaczego pozostali na emigracji, a więc - pośrednio - co stało się z Polską po zakończeniu wojny. To było przez cały czas manifestowane i podkreślane, że Polska straciła niepodległość, że została okrojona terytorialnie, a oni wybrali emigrację, by o tym świadczyć i przypominać. Książka Rafała Habielskiego ukazała się nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego, w popularnej serii „A to Polska właśnie”, która ma niejako dwa wymiary. Pierwszy, bardziej widoczny, to zdjęcia przypominające wybitne postaci, znane miejsca i budynki, wydarzenia, spotkania. Druga warstwa - narracyjna - stanowi, w popularny sposób przedstawione, dzieje Polaków w Londynie, do którego zaczęli przybywać po klęsce Francji, w lecie 1940 roku. Warto może wspomnieć, że pierwszą osobistością, co prawda nie polityczną, lecz niewątpliwie znaczącą, która zjawiała się w Londynie po wybu-

chu wojny, była marszałkowna Aleksandra Piłsudska. Świadczy o niej chociażby, jaką w polskim Paryżu darzyły Marszałka sfery rządów, zdecydowała się na Londyn, gdzie po owianej tajemnicą podróży przez Litwę i Szwecję przybyła wraz z córkami w początkach listopada 1939 roku. Tę warstwę narracyjną autor ujął w osiem rozdziałów poświęconym między innymi nadziejom i klęskom, polityce i jej okolicznościom, książkom, gazetom, językowi, pamięci i służbie Melpomenie. Trzeba bowiem podkreślić, że Polski Londyn to nie tylko ludzie, którzy wybrali emigrację. To także stworzone

przez nich instytucje polityczne i kulturalne, czasopisma, książki, teatry, kabarety, sklepy, restauracje, a więc myślenie o polityce i przeszłości, patriotyzm i nostalgia, życie towarzyskie i społeczne. Więzy te pozwoliły przez półwiecze przechować wartości wpisane na wojennych sztandarach. Z perspektywy lat, gdy zniknęło pojęcie emigracji politycznej, okazało się, że najtrwalsze: instytucje życia kulturalnego i społecznego. Instytucje polityczne, od których zaczął się Polski Londyn, odeszły do historii, wraz z zniknięciem powodów dla których powstały. Warto polecić książkę Rafała Habielskiego „Polski Londyn” zarówno czytelnikom w kraju, jak i poza jego granicami, przez wszystkim dlatego, że wiedza na ten temat jest ciągle nie wystarczająca, a emigracji należy się szacunek za trud, jaki poniosła do zachowania wartości i tożsamości. Bez Biblioteki Polskiej, „Wiadomości Literackich”, bez Instytutu im. Gen. Sikorskiego, Fundacji Kultury Polskiej, szkół Polskiej Macierzy Szkolnej, bez kabaretu Hemar „Dziennika Polskiego” i „Orla Białego”, bez książek, czasopism i londyńskiego życia kulturalnego inaczej wyglądałaby humanistyka nie tylko emigracyjna, ale i krajowa, a zatem i my bylibyśmy nie inni, z pewnością ubożsi. Książka Rafała Habielskiego przypomina nam o tym.

Bogna Kaniewska





Zmiana warty w POSK-u

rozmowa z Krzysztofem Zarębskim – nowym prezesem
Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie

Panie Prezesie, proszę przedstawić się i opowiedzieć o sobie.

Urodziłem się w Dzień Dziecka, 1 czerwca 1965 roku w Londynie. Matka pochodziła z Łodzi, a ojciec jest ze Lwowa. Wychowywałem się we wschodnim Londynie. Rodzina nasza należała do parafii Forest Gate - Ilford i tam właśnie zacząłem chodzić do polskiej szkoły sobotniej. Trochę czasu spędziłem w polskim harcerstwie. Myślę, że właśnie te najwcześniejsze lata odegrały kluczową rolę w budowaniu mojego poczucia tożsamości narodowej. Nasz dom był domem polskim, mówiło się po polsku, chodziło do polskiego kościoła i wszystkie letnie wakacje spędzałem u rodziny w kraju. Skutek tego był taki, że czułem się bardziej Polakiem żyjącym w Anglii niż Anglikiem polskiego pochodzenia. Dostałem się na uniwersytet i pierwszy fakultet, z geografii, skończyłem w 1986 roku na London School of Economics. Następnie studiując zaocznie, uzyskałem stopień Master of Business Administration na Henley Management College w 1995 roku. Obecnie pracuję w Ernst & Young na stanowisku konsultanta, zajmując się strategią oraz polepszeniem skuteczności działania firm.

Sześćdziesiąty piąty rocznik.... To Pan jest młodszy od POSK-u.

Chyba tylko o rok, ale już było paru młodszych prezesów przede mną - Edward Truch i Adam Ostoja-Ostaszewski też należeli do pokolenia urodzonego w Anglii. Obydwaj objęli stanowisko w wieku czterdziestu parulat.

Pan ma 35 lat. Dużo odpowiedzialności na taki wiek.

Odpowiedzialności się nie boję. Wiem, że mogę polegać na współpracy i pomocy członków Zarządu, którzy są starsi ode mnie i posiadają o wiele więcej doświadczenia. Bardzo sobie cenię ich współpracę: Olgierd Lalko prowadzi Dział Domu i jest wiceprezesem, Feliks Łaski jest skarbnikiem, a Mieczysław Hampel sekretarzem. Marcin Zaręba współpracuje z Feliksem Łaskim przy planowaniu finansowym. Artur Rynkiewicz zajmuje się sprawami zewnętrznymi, Roman Kulik społecznymi, a Paweł Pastuszek technicznymi. Działy

Kultury i Biblioteki mają nowe przewodniczące. Pani Ewa Brzeska prowadzi Dział Kultury, który zajmuje się teatrem i sprawami artystycznymi. Pani Ewa Lipniacka prowadzi Dział Biblioteki. Pan Machulski reprezentuje POSKlub. Cała Rada jest źródłem szerokiego doświadczenia i umiejętności. Wierzę w kierownictwo przez konsensus opinii, ale musimy mieć wyraźną wizję tego, co chcemy osiągnąć i wiedzieć, jakie mamy cele. Wyznacza nam to kierunek działania i pozwala na wprowadzenie zarządzania proaktywnego raczej niż reaktywnego.

Czy przedstawił Pan swą interpretację tej wizji Radzie?

Tak. Brzmi ona następująco: „POSK ma jako cel promocję i udostępnienie kultury polskiej we wszystkich formach. Służy polskiej społeczności, umożliwiając utrzymanie i rozwój narodowej tożsamości. Stara się osiągnąć ten cel przez sprawne zarządzanie, skuteczne użycie swych funduszy oraz współpracę z innymi organizacjami”.

Wprowadził Pan jednak pewne zmiany.

Tak. Chciałem wprowadzić pewien element równości oraz porządku. POSK jest teraz podzielony na siedem Działów, z których każdy ma przewodniczącego, ustalone cele oraz budżet na ich realizację. Nie ma hierarchii. Każdy Dział ma głos i opinia każdego członka ma tę samą wagę. Stworzyliśmy też grupę składającą się z Feliksa Łaskiego, Ewy Lipniackiej i Adama Ostoji-Ostaszewskiego, która będzie miała za zadanie zdobywanie funduszy na utrzymanie i rozwój POSK-u. Musimy odejść od polegania na spadkach i prowadzić politykę opartą na osiągnięciu samowystarczalności, zarabiając jak najwięcej na rentach komercyjnych oraz apelować do wszystkich źródeł zdobycia pomocy finansowej, jak London Arts Board, National Lottery i fundusze gmin, a także rządu.

A jakie przewiduje Pan problemy?

Widzę je raczej jako sprawy do rozwiązania niż problemy. Takie sprawy występują zawsze przy prowadzeniu tak dużej organizacji, w której mamy ponad dziesięć tysięcy członków i obrót trzy czwarte miliona funtów rocznie. Pokonaliśmy kryzysy finan-

sowe lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Teraz musimy wzmocnić nasze zasoby. Potrzebny jest solidny fundament, który jest oparty o unikanie zadłużenia, utrzymanie zdrowego przepływu gotówki i rozsądne inwestowanie. Przez ostatnie dwa lata POSK kończył rok z dodatnim saldem. W tym roku przewidujemy deficyt w związku z ponad półmilionowymi wydatkami na utrzymanie i remont gmachu, ale postaramy się, by deficyt był jak najmniejszy. Gdybym musiał wspomnieć o jednej sprawie, która mnie niepokoi, to powiedziałbym komunikacja, a raczej, mówiąc szczerze, brak komunikacji. Z pewnością dużo mówimy na zjazdach i spotkaniach na ten temat, ale ja odczuwam brak komunikacji między POSK-iem, a niektórymi innymi organizacjami. Konsekwencje widać w braku zrozumienia i czasami pretensje, że POSK nie jest przyjaźnie nastawiony do tych organizacji. Bardzo chciałbym to zmienić i wrócić do ery współpracy. Rozmawiałem już z POS Klubem na ten temat i mam nadzieję, że jest szansa na polepszenie stosunków opartych na otwartości i zrozumieniu sytuacji, w jakiej działamy. Chciałby, także wzmocnić współpracę z Polską Macierzą Szkolną, z Działem Bibliotecznym oraz ze Zjednoczeniem Polskim. Mam nadzieję, że możliwa również będzie współpraca np. z Instytutem Kultury.

A jak widzi Pan przyszłość?

Zaczynając od podstaw stanowczo musimy poprawić czystość i wygląd naszego budynku. Ludzie muszą chcieć przyjść do POSK-u, a kiedy już przyjdą, musi być porządek, a oni muszą się czuć bezpiecznie. Będą także zmiany w działalności Działu Bibliotecznego, by więcej przychodziło dzieci i młodzieży. Mamy ambitne plany dotyczące teatru oraz chcemy zainstalować w sekretariacie sieć z programem Microsoft Office. Myślę więc, że rok 2000 będzie istotny dla POSK-u.

Na zakończenie proszę o kilka słów podsumowania.

Wybranie mnie na stanowisko prezesa POSK-u jest dla mnie zaszczytem. Mam nadzieję, że przez następny rok uruchomiony proces zmian i rozwoju naszego ośrodka będzie korzystny nie tylko dla POSK-u, ale także dla całej Polonii w Wielkiej Brytanii.

Dziękuję za rozmowę.

rozmawiał Szymon Zaremba

Oddział w Bielsku Białej Z pomocą na Kresy

W czerwcu br. członkowie oddziału zorganizowali transport z pomocą humanitarną dla Polaków żyjących na Ukrainie - w Żydaczowie, Dzierżyńsku oraz Lwowie. Akcję tę patronatem objęli ks. bp Tadeusz Rakoczy - ordynator diecezji bielsko-żywieckiej i bp Paweł Anawajler z diecezji cieszyńskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Znacznej pomocy udzielił miejscowy Caritas, udostępniając swe znaki i dając pisma polecające, które znacznie uprościły proce-

durę odpraw celnych. Wartość transportu wyniosła około 30 tysięcy złotych. Złożyły się nań towary pozyskane od sponsorujących firm i indywidualnych darczyńców oraz kupione z funduszy Stowarzyszenia: odzież, artykuły spożywcze, książki, artykuły gospodarstwa domowego, środki higieny, lekarstwa, maszyny stolarskie, artykuły ściernie i izolacyjne materiały budowlane.

Stefan Zuber, Cezary Kozak i Roman Podoski, konwojujący transport, spotkali się przy tej okazji z ks. Dariuszem Firszttem z parafii p.w. Matki Bożej Różańcowej w Żydaczowie, przedstawicielami tamtejszego środowiska polskiego, ks. Ryszardem Dziubą z Dzierżyńska oraz zostali przyjęci przez ks. abp Mariana Jaworskiego - ordynariusza diecezji lwowskiej, obchodzącego właśnie jubileusz 50-lecia kapłaństwa.

Oddział Dolnośląski Kresowiaczy w Głogowie

Po raz szósty w Głogowie odbył się Przegląd Kultury Kresowej „Kresy 2000”. Współorganizatorem imprezy, poza naszym Oddziałem, było Muzeum Archeologiczno-Historyczne, którego dyrektor Leszek Lenarczyk, członek Oddziału Dolnośląskiego, był w roku 1995 inicjatorem tej wielce potrzebnej na Dolnym Śląsku imprezy. Przegląd z roku na rok poszerza swoją formułę oraz liczbę uczestników reprezentujących kraje zamieszkałe przez Polaków. Podczas tegorocznej imprezy mieszkańcy Ziemi Głogowskiej mogli podziwiać występy następujących zespołów: „Kresowianki” z Iwierca, „Chabrów” z Grodna, „Promienia” ze Szczuczyna i „Wisłki” z Dortmundu oraz kapeli ludowej „Stasiuki” z Niemenczyzna i Polskiego Teatru ze Lwowa.



Od lewej: mjr P. Kamiński, A. Łappo (Białoruś), L. Kolosowski

Przegląd rozpoczął się 30 czerwca br. uroczystą Mszą św. odprawioną w Kościele Garnizonowym pw. św. Elżbiety przez dziekana Śląskiego Okręgu Wojskowego ks. Józefa Kubalewskiego w intencji żołnierzy Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego i ich dowódcy, płk Adolfa Pilcha ps. „Góra”, „Dolina”, który zmarł 26 stycznia br. w Londynie. Na uroczystą Mszę św., w której udział wzięły Kompania Reprezentacyjna Łużyckiego Oddziału Straży Granicznej i Reprezentacyjna Orkiestra Komendy Wojewódzkiej Policji w Wrocławiu, przybyli żołnierze zgrupowania z p. Longinem Kolesowskim na czele oraz poczty sztandarowe byłych kresowych okręgów Armii Krajowej. Obecni byli także przedstawiciele władz miejskich Wrocławia, uczestnicy głogowskich „Kresów 2000” z Białorusi oraz liczni mieszkańcy miasta. Patriotyczno-religijną uroczystość zakończył koncert orkiestry policyjnej i zespołu „Kresowianka” z Iwierca, miasta leżącego na skraju Puszczy Nalibockiej, gdzie zgrupowanie do czerwca 1944 roku prowadziło walkę z dwoma wrogami. Spotkanie z byłymi uczestnikami tamtych krwawych wydarzeń w jednej z malowniczych kawiarenek wrocławskiego rynku przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych.

1 lipca w amfiteatrze przed Zamkiem w Głogowie odbył się Galowy Koncert VI Przeglądu Kultury Kresowej, który poprzedził otwarcie czasowej wystawy pt. „W kręgu «Pana Tadeusza»”, przygotowanej przez głogowskie muzeum. W wystawie wykorzystano eksponaty muzealne tamtej epoki, stare ryciny oraz materiały fotograficzne zebrane przez członków naszego Oddziału. Koncert oglądał ponad tysięczna widownia, dla której przygotowano, obok wielkich wrażeń duchowych, także sporo punktów gastronomicznych. Szeroki repertuar występujących zespołów oraz wielokrotne bisy przedłu-



Zamek Piastów w Głogowie



Przed Kościołem Garnizonowym we Wrocławiu

żyły koncert do późnych godzin nocnych. Sceneria pełnego zieleni amfiteatru zamkowego dodawała imprezie dodatkowego uroku.

W następnym dniu Przeglądu na dziedzińcu zamkowym Teatr Polski ze Lwowa wystawił „Odprawę posłów greckich” J. Kochanowskiego. Tę doskonale zainscenizowaną sztukę obejrzeli zaproszeni goście - przedstawiciele władz i biznesu z regionu oraz sponsorzy wspomagający „Kresy”. Po spektaklu odbyła się aukcja obrazów malarzy polskich ze Lwowa, Wilna i Grodna, podczas której

zwłaszcza dzieła artystów z Białorusi przypadły do gustu kupującym. Cały dochód ze sprzedaży przekazany został autorom.

Zainteresowanie imprezą przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. Uczestniczące zespoły bardzo podobały się mieszkańcom Ziemi Głogowskiej. W przyszłym roku pragniemy imprezę poszerzyć o udział większej liczby zespołów, jak również o jej zasięg w regionie. Już dziś chcielibyśmy zaprosić na pierwszą niedzielę lipca do Głogowa, o ile środki finansowe na to pozwolą.

Inwestycja w przyszłość

W dniach 30 czerwca - 8 lipca br. odbyła się w Głogowie Druga Letnia Akademia Kultury i Języka Polskiego dla młodzieży polskiej ze Wschodu, zorganizowana w III Liceum Ogólnokształcącym w Głogowie, którego dyrektor p. Jan Zubowski, wielki miłośnik Kresów, jest członkiem naszego Oddziału.

Program Akademii obejmował m.in.: wykłady z historii i literatury polskiej, 22 godziny ćwiczeń w pracowni komputerowej, zajęcia plastyczne, naukę polskich piosenek turystycznych i pieśni patriotycznych oraz zwiedzanie regionu i Wrocławia, a także wiele imprez sportowych i rekreacyjnych oraz udział w dyskotekach i ogniskach. W zajęciach Akademii wzięło udział trzydziestu młodych Polaków: 3 osoby z Litwy, 10 z Białorusi, po 4 z Ukrainy i Zaolzia oraz 10 uczniów z III LO w Głogowie. Wszystkim przyjezdnym towarzyszyli opiekunowie, nauczyciele szkół lub klas polskich.

Program imprezy, choć bardzo bogaty, nie wywołał u uczestników znużenia. Jak mówili goście - był ciekawy i bardzo potrzebny. Udział uczniów z Głogowa przyspieszył proces integracji młodzieży ze Wschodu i udowodnił, że nasze dzieci wykazują dużą dojrzałość społeczną. Zawiązały się liczne przyjaźnie. Warunkiem uczestnictwa dla gości była bardzo dobra znajomość języka polskiego, co pozwoliło zrealizować dość trudny program szkoleniowy. W pierwszym dniu imprezy młodzież rozmawiała między sobą w rodzimych językach, jednak już z dnia na dzień słychać było tylko język polski. Należy podkreślić również wysoką kulturę i wzorowe zachowanie uczestników głogowskiej imprezy. Rozmowy z uczestnikami Akademii na spotkaniu pożegnalnym pokazały, że

wiele faktów z zakresu historii, które omawiane były na zajęciach, stanowiło dla większości prawdziwe odkrycia, zaś praca z komputerem dla wielu z nich była pierwszym kontaktem z nowoczesnym środkiem edukacji. Dla organizatorów natomiast udana impreza jest dowodem na celowość organizowania podobnych w przyszłości oraz poszerzenia programu i liczby uczestników. Na zakończenie Akademii wszyscy uczniowie otrzymali dyplomy i świadectwa jej ukończenia oraz upominki od prezydenta Głogowa i Dolnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia. Była to wartościowa „inwestycja” w przyszłość Polaków na Kresach.

Ryszard Olejniczak



Fot. K. Szymański

Oddział w Krakowie

Rodacy opuszczonym rodakom

2 lipca br. po raz kolejny do Lwowa udała się komisja Sekcji Charytatywnej, działającej przy Oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Krakowie. Do jej zadań należy niesienie pomocy medycznej i finansowej Polakom zamieszkającym we Lwowie i na Kresach. Sekcja pomaga tym, którzy znaleźli się w wyjątkowo trudnych warunkach, w beznadziejnej sytuacji, skrajnym ubóstwie. Niesie nadzieję ludziom opuszczonym, niedołężnym i bezradnym. Jest to nie tyle pomoc ubogim, lecz osobom tragicznie, w sposób wręcz niewyobrażalny, biednym.

Na adres „Wspólnoty Polskiej” w Krakowie wciąż napływają ogromne ilości próśb ludzi potrzebujących pomocy i wsparcia. Członkowie komisji charytatywnej osobiście sprawdzają zasadność takich podań, poznając się naocznie z sytuacją bytową piszących. Tym razem do Lwowa wyjechali: prezes krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i przewodniczący komisji - prof. Zygmunt Kolenka oraz członkowie - Barbara Ołasińska, Teresa Wilkowska i Małgorzata Stępkowa. To, co zobaczyliśmy na własne oczy, trudno wyrazić słowami. Nie sposób opisać, jakie dramaty i tragedie kryją mury przepięknych lwowskich kamienic. Ile biedy i nędzy jest za tymi kolorowymi i zdobnymi fasadami domów. Żyją w nich między innymi ludzie, którzy od wielu lat nie wychodzą ze swoich mieszkań. Gdyby chociaż mieli balkon, mogliby przez moment poodychać świeżym powietrzem. Smutna to była peregrinacja po Lwowie...

Pobyt komisji w tym mieście trwał sześć dni. W tym czasie złożono wizyty prawie stu osobom, które nadesłały ankiety o przyznanie zapomóg. Jest to niezwykle ciężka praca i komisja miała ręce pełne roboty. Niejednokrotnie przychodziło nam pokonać wiele pięter, bo nie działała winda - zepsuła się albo wyłączono dla oszczędności prąd. My jakoś mogliśmy pokonać te piętra bez większego wysiłku, ale dla chorych i niedołężnych ludzi jest to przeszkoda nie do pokonania.

Wędrowka po starym i nowym Lwowie, wizyty w domach

starszych i chorych Rodaków dostarczyły wielu wzruszeń. Ileż radości dały nam te spotkania! Wszędzie witano nas ciepło i serdecznie. Każdy chciał opowiedzieć nie tylko o swoich problemach, troskach i kłopotach dnia codziennego, ale i o małych, drobnych radościach.

Głęboko w pamięci utkwił mi obraz pań Laskowskich, dwóch sióstr mieszkających w starej, rozpadającej się chałupie, stojącej w dolinie zarośniętej krzakami. Pannie, mimo tragicznych warunków bytowych, są optymistycznie nastawione do życia. Nie narzekały, chociaż dzień wcześniej potężna ulewa zalala im całe mieszkanie, gdyż od lat nikt nie remontował dachu. Kiedy im źle i bardzo smutno, a zwłaszcza kiedy są głodne, ku pocieszeniu śpiewają sobie piosenkę. - Nasz duet nazywa się „Dziąselko”, bo nie mamy zębów - powiedziały nam uśmiechnięte siostry i zaśpiewały piosenkę, od której łzy zakręciły się nam w oczach:

*Przyśnił mi się kraj i czasy
Piękny, miły, niebywały
Zamiast drzew rosy kielbasy
Z placów były domy całe
Ziemia cała z czekolady
Wonne kwiaty z marcepanów...
Tam płynęła rzeka mleka
Wszędzie miły był dostatek
Wszystko co dnia się mnożyło
Byłoby tak wiele laty
Gdyby wszystko snem nie było.*



Siostry Emilia i Czesława Laskowskie z B. Ołasińską (pośrodku)

Marzenia starszek są bardzo przyziemne. Ot, chciałyby mieć dach naprawiony, aby w zimie nie marznąć, a w czasie słońca nie podstawić wiader pod dziury w suficie. A leje się z góry wszędzie - i w pokoju, i w korytarzu, i w kuchni. No, i czasem tak smutno, gdy nie ma co jeść...

Przyszliśmy do domu pani Alicji, która mieszka z niewidomym mężem. W kuchni pustka, jakby nikt tutaj nie mieszkał. Pusty kredens, stół, na kuchni nie ma naczyń, nawet czajnika. Tylko na jednej półce kredensu dwa talerze i dwa kubki. Jeden z nich już mocno poszczerbiony. Co będzie, jeśli któryś się stłucze? Przyjdzie im jeść z jednego talerza. - Sprzedaliśmy już z domu wszystko - mówi pani Alicja. - Więcej nie mamy już nic. Mój mąż jest zupełnie niewidomy, a ja widzę bardzo słabo. Ostatnią rzeczą, jaką mieliśmy, była maszyna do szycia. Sprzedaliśmy ją, aby kupić okulary. Bardziej cieszyliśmy się wtedy, gdy udało się nam ją sprzedać, niż wtedy, gdy ją przed laty kupowaliśmy. Brakuje na wszystko, nie mamy już nic, a jak stłuką się dwa ostatnie talerze...?

Na lwowskim Rynku tysiące turystów zachwycają się wspaniałą urodą kamienicami - ich architekturą, płaskorzeźbami, sztukaterią. Wchodzimy do jednej z tych kamienic, by odwiedzić ponad osiemdziesięcioletniego starszka. Nie wygląda na swoje lata - tyle w nim energii i radości życia. Chociaż powodów do tej radości nie ma - żyje w skrajnej nędzy. W mieszkaniu nie ma nic prócz walących się łóżek. Starszek jest ojcem dwóch córek. Jedna z nich choruje na gruźlicę. Jej synka musieli oddać na wychowanie krewnym, gdyż praktycznie nie mają

środków na życie. Na utrzymanie rodziny mają kilkadziesiąt hrywien (ok. 10 dolarów) miesięcznie. Gospodarz chciał nas ugościć barszczem, jak najbliższych mu ludzi, ale w litrowym gamku było tylko trochę wodzianki z czerwonych buraków. To nie był tradycyjny ukraiński barszcz - na mięsie i z jarzynami. Mimo to był bardzo szczęśliwy i uważał się za bardzo bogatego. Miał bowiem jeszcze wielki skarb - pół bochenka czarnego chleba, pęczek świeżego koperku i kilka cebul. Wczoraj nazbierał butelek i dostał za nie 1 hrywnę i 30 kopiejek. Wystarczyło na chleb. Potem jeszcze nazbierał butelek i znów dostał rubla, ale niestety zgubił go. Emeryturę dostanie

dopiero za pół miesiąca. Gospodarz martwi się tylko o jedno - dokąd starczy mu jeszcze sił, aby sprawdzać śmietniki w poszukiwaniu butelek.

Jesteśmy przy ul. Teatralnej w mieszkaniu pani Stefani. Na nasz widok woła: Zabierzcie mnie stąd, zabierzcie do Polski! Do domu spokojnej starości! Staruszka mieszka kątem u córki. Przedtem żyła na wsi, ale jej dom się zawalił. Pani Stefania śpi na jakimś barlogu w ciemnym kącie. Swoją emeryturę oddaje córce na czynsz. Sama je tylko kaszę na wodzie, ale przecież nie potrzebuje dużo zjeść. Większość dnia spędza w kościele, gdzie modli się o cud. Gdy zapytałyśmy ją, czego najbardziej potrzebuje, odparła, że tak naprawdę to niczego, ale po chwili namysłu poprosiła o buty, bo jej już rozpadają się i w czasie deszczu przemakają. Byliśmy zszokowani - przecież staruszka nie ma niczego i o nic nas nie prosi...

Odwiedzając dziesiątki mieszkań, byliśmy świadkami wielu niecodziennych sytuacji. Czasem komicznych, wzruszających, ale także smutnych w swej wymowie. Kiedy wręczaliśmy ludziom pieniądze, wśród których były banknoty o nominale stu hrywien, brali je podejrzliwie do ręki i oglądali ze wszystkich stron. Okazywało się, że nigdy wcześniej nie widzieli banknotów o tak wysokim nominale. Był to majątek, o którym nawet śnić nie mogli. W wielu mieszkaniach witały nas radosne okrzyki: O Boże, to cud, to cud! Wymodliłam cud! A potem opowiadali nam, że już od kilku dni nie mają pieniędzy i chleb się kończy. Tabletki od dawna już dzielą na cztery części, bo co będzie, gdy się skończą, a wykupić recepty nie ma za co. Pozostała im tylko modlitwa i nadzieja na cud. I ten cud spełnił się właśnie w momencie, gdy powoli zaczęli tracić nadzieję...

Byliśmy głęboko wzruszeni tym, co zobaczyliśmy. Przyznam, że nie spodziewałam się tak wielkich ludzkich dramatów, do których opisania brak słów.

W czasie wizyty we Lwowie członkowie Sekcji Charytatywnej spotkali się z przedstawicielami Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie, którego przewodniczącą jest doc. dr Ewelina Hrycaj-Mańnic. Przeprowadzili rozmowy na temat współpracy, polegającej na objęciu przez lwowskich lekarzy opieką medyczną tamtejszych Polaków w podeszłym wieku. Ostateczne decyzje w tej sprawie zapadną w październiku bieżącego roku.

Obecnie dwudziestoosobową grupą najczęściej chorych osób opiekuje się dwóch lekarzy ze Lwowa - doktor Olga Toptunowa i doktor Borys Sawczyk. Niezależnie od tego na co dzień starszymi i niepełnymi rodakami we Lwowie opiekuje się kilka osób. Odwiedzają chorych w mieszkaniach, pomagają w robieniu zakupów, służą dobrym słowem. Bo ci ludzie czasem potrzebują po prostu rozmowy. W dalszych zamierzeniach Sekcji znajduje się otwarcie polskiej apteki we Lwowie. Trwają również rozmowy na temat sprowadzenia dwóch osób do Domu Spokojnej Starości w Polsce. Ponadto szpital im. Rydygiera w Krakowie wyraził gotowość przyjęcia kilku osób na leczenie. Czynione są też przygotowania do zaproszenia grupy rodaków z Kresów na Święta Bożego Narodzenia do kraju.

Pod opieką Sekcji Charytatywnej, działającej przy Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” w Krakowie, znajduje się około 250 osób. Lista, w zależności od potrzeb, będzie sukcesywnie aktualizowana. Komisja rozszerza zakres swojej działalności na inne obszary. I tak w połowie lipca dr Roma Machowska odwiedziła 26 osób z Sambora i okolic.

tekst i zdjęcia - Małgorzata Stępka



Z lewej Wanda Kazimierowicz



Maria Zawistowska



Bronisława i Stanisław Siłwowie



Jadwiga i Irena Zappe

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” Oddział w Krakowie,
31-008 Kraków, Rynek Główny 14
konto: BWR S. A. II O/Kraków 19101051-97303-27016-12
z dopiskiem: „Opuszczeni Polacy we Lwowie.”
Bliższe informacje można uzyskać w biurze Oddziału Stowarzyszenia
„Wspólnota Polska” w Krakowie, Dom Polonii, Rynek Główny 14,
tel. (0-12) 422 43 55 lub 422 61 58, 431 03 22.



Letnia szkoła dla dorosłych

Podczas wakacji krakowski Oddział „Wspólnoty Polskiej” zorganizował Szkołę Letnią „Język, historia i Polska współczesna” dla osób dorosłych i studiujących w kraju zamieszkania. Do Krakowa przyjechały 62 osoby z Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii, Bułgarii, Rumunii, Słowacji, Węgier i Ukrainy. Program szkoły był tak pomyślany, że do południa odbywały się wykłady, do wygłoszenia których zaproszono pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego, Zamku Królewskiego na Wawelu i Muzeum Historycznego Krakowa. Wszyscy uczestnicy szkoły żywo interesowali się tematyką wykładów, obejmujących m.in. literaturę polską XX wieku, dzieje Krakowa, problematykę dziedzictwa kulturowego, polską symbolikę narodową i współczesną historię Polski. Popołudniami nasi goście mieli okazję uczestniczyć w wielu imprezach kulturalnych, organizowanych w Krakowie w związku z nadaniem miastu tytułu „Eu-

ropejskie Miasto Kultury - Kraków 2000”. Były to m.in. festiwale: kultury żydowskiej, teatrów ulicznych, tańca czy festiwal jazzowy. Równie wielkim przeżyciem artystycznym był dla gości koncert Grzegorza Turnaua w Ogrodach Muzeum Archeologicznego.

Do ciekawszych punktów programu uczestnicy szkoły zaliczyli zwiedzanie zabytków Krakowa - Wawelu, Katedry, Kościoła Mariackiego, Collegium Maius, polskich i żydowskich zabytków Kazimierza oraz obejrzenie wystawy pt. „Kraków 1000 - 2000”, na której pokazano m.in. wiele cennych, rzadko udostępnianych publicznie, zabytków, w tym zwłaszcza włócznię św. Maurycego, podarowaną Bolesławowi Chrobremu przez Ottona III. W programie szkoły nie zabrakło także wycieczek poza Kraków: była „pielgrzymka” do Częstochowy, podziwianie Pienin podczas spływu Dunajcem oraz zwiedzanie Wieliczki. Podczas uroczystego zakończenia w krakowskim Domu Polonii wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy. (PZ)

Oddział Kujawsko - Pomorski Gorące lato

„Ciągłe pada... mokre niebo opuszcza się coraz niżej...” - to był adekwatny do pogody przebieg dzieci i młodzieży przebywających na organizowanych przez nasz Oddział koloniach i warsztatach artystycznych, ale natłok przedsięwzięć i szybkie tempo działań czyniły temperaturę gorącą.

Rozpoczęliśmy od kursu zabytkoznawstwa i konserwatorstwa sztuki kościelnej w Toruniu, przeznaczonego dla seminarzystów spoza wschodniej granicy. To inicjatywa ważna i potrzebna dla ratowania niszczących zabytków sakralnych, często unikalnych. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu może poszczycić się



Absolwenci

wieloma osiągnięciami konserwatorskimi, nie tylko w kraju, dlatego prowadzenie kursu powierzyliśmy Instytutowi Zabytkoznawstwa i Konserwatorstwa UMK, którym kieruje prof. Jan Tajchman. Program był intensywny, może nawet zbyt ambitny - obejmował bardzo szeroką problematykę. Uczestnicy, młodzi klerycy z Ukrainy i Białorusi, pilnie chłonili wiedzę podczas wykładów, a także objazdów naukowych po ważnych obiektach sakralnych naszego województwa. Potrzeba kontynuowania kursu nie podlega dyskusji - należy go jednak zmodyfikować i w przyszłości poświęcić więcej uwagi restauracji organów, które, często o wielkiej wartości zabytkowej i artystycznej, znajdują się w opłakanym stanie.

Szkoła Letnia Kultury i Języka Polskiego, organizowana przez Oddział od 10 lat pod kierunkiem prof. Czesława Łapicza, prorektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, gościła w tym roku uczestników z Rosji, Białorusi, Chorwacji, Czech i Estonii, Litwy, Łotwy, Rumunii i Ukrainy. Bardzo cenimy sobie współpracę z UMK - gwarantem sukcesów Szkoły są wykładowcy prezentujący rzetelną wiedzę i talent pedagogiczny. W programie kursu przewidziano teoretyczną i praktyczną naukę języka polskiego oraz poznawanie zagad-



Dyplom z rąk prezesa Oddziału, p. J. Sawionka



Słuchacze z Ukrainy

nień sztuki dziennikarskiej, kultury kraju i współczesnych problemów politycznych. Zaplanowano też wykład „Nadzieja i obawy o młodzież u progu trzeciego tysiąclecia”, zwiedzanie Torunia i innych fascynujących miejsc naszego kraju, a nawet naukę pieśni, piosenek i tańców polskich. Motywacją przyjazdu uczestników kursu do Torunia jest różna - jedni chcą poznać język i kulturę polską, inni zebrać materiały do prac magisterskich i doktorskich, są i tacy, którzy myślą o studiach w Polsce, zamieszkaniu tu i pracy. Bywa też, że przyciągają ich sentymenty.

„Sztuka jest wieczną wiosną/ Sztuka jest ciepłym wiatrem” - ten cytat, zaczerpnięty z K. I. Gałczyńskiego, był mottem międzynarodowych warsztatów artystycznych, zorganizowanych przez nasz Oddział w Przyjezierzu, nad pięknym jeziorem Ostrowskim. Uczestnicy powiesili go na honorowym miejscu, by odegnąć zimne wiatry, deszcze i ponure nastroje. Nie było czasu na nudę; przygotowywanie koncertów (aż 10 otwartych dla publiczności), ekspozycji plastycznych, intelektualne i rozrywkowe „spotkania wieczorową porą”, wypadki w okolicę, zwiedzanie ciekawych zakątków i zmagania sportowe zajmowały dużo czasu. Nasi goście - utalentowane dzieci i młodzież - przyjechali ze swoimi instruktorami z Białorusi, Litwy

Powitalny gest prof. S. Kalembski

i Serbii. Wśród nich: zespół cymbalistek „Praleski” z Mińska, wokalo-taneczny „Maszeka” i „Teatr Gracji i Plastyki” z Mohylewa, laureaci konkursu muzycznego organizowanego przez Centrum Kultury Polskiej w Wilnie, wspaniale zapowiadający się instrumentalisci z Belgradu - skrzypek Nenad Volarov i trębacz Tomasz Susić. Wszyscy polskiego pochodzenia. Na miejscu powstawały zespoły międzynarodowe, jak np. „Wesołe Bambusy” z udziałem chłopców z Kowalewa Pomorskiego (I miejsce w rankingu młodzieżowym) i kameralny „Viva musica”.

Koncerty w wykonaniu młodych artystów były przyjmowane niezwykle gorąco. Kuracjusze sanatoriów, zgromadzeni w Parku Zdrowym w Inowrocławiu, rezygnowali z kolacji, by obejrzeć do końca występy „Teatru Gracji i Plastyki”.

Na warsztaty przyjeżdżają częstokroć dzieci niezwykle uzdolnione. W ubiegłym roku rewelacją był występ Michała Ilei - skrzypka i Lawinii Mihai - flecistki z Rumunii oraz Beaty Krapik z Kowna. Tym razem niezapomniane wrażenie pozostawiła dziewczynka o głosie jak dzwon - dwunastoletnia Julia Krasowska z Mohylewa. Jest talentem samorodnym - nie kształci się w żadnej szkole muzycznej, swe zainteresowania rozwija w Domu Polskim.





Solistki

Teatr Gracji i Plastyki



Południowe rytmy

W położonej niedaleko Torunia Szafarni, miejscu związanym z Fryderykiem Chopinem, każdego roku odbywa się konkurs chopinowski dla dzieci i młodzieży. Z satysfakcją odnotowaliśmy udział w nim dzieci z Białorusi i Kazachstanu, uczestniczących też w naszych warsztatach. Jednak wysokie koszty obciążające Polaków ze Wschodu są często nie do pokonania.

„Ciągłe pada...”, a jedenastoletni Aleksander Zujew z Wilna, laureat konkursu historycznego o Polsce, który był naszym przewodnikiem po „Szlaku Piastowskim” podzielił się z nami taką refleksją: „To nawet dobrze, że pada - możemy być razem, bliżej.”

Julia Krasowska z Mohylewa





Szefowa Warsztatów I. Bagińska

Pożegnaniom nie było końca. Pojawiły się kałuże łez, „śluby kolonijne” i zapewnienia o wzajemnej przyjaźni.

Oddział Kujawsko-Pomorski zorganizował jeszcze tego lata kolonie w Toruniu i Włocławku, wspaniały obóz wędrowny w Beskidzie Żywieckim, zaprosił teatr Młodego Aktora z Rubieżewicz. Ale o tym innym razem...

Irena Bagińska
fot. A. Panecka



„Praleski” z Mirską

Oddział w Lublinie

Kurs szkoleniowy dla polskich lekarzy ze Wschodu

3 lipca br. uroczystą Mszą św. w kościele oo. jezuitów w Lublinie zainaugurowano kolejny letni kurs szkoleniowy dla lekarzy polskiego pochodzenia z terenów byłego ZSRR. Eucharystię koncelebrowali lubelscy duszpasterze służby zdrowia pod przewodnictwem ks. abp Józefa Żyćńskiego, który skierował do zgromadzonych kazanie. Metropolita lubelski nawiązał do obchodzonego w tym dniu święta Tomasza Apostoła zwanego niewiernym, który spóźnił się na pierwsze spotkanie ze Zmartwychwstałym. Niedowierzając w ten największy cud, pragnął dotknąć ran Zbawiciela - co niebawem nastąpiło i zaowocowało wielką wiarą oraz gorliwością apostołską Tomasza. Poniósł on Ewangelię daleko na Wschód - aż do Indii, gdzie do dziś jest czczony. Arcybiskup wezwał zgromadzonych do modlitwy, by w czasie tegorocznego wakacyjnego szkolenia w lubelskiej Akademii Medycznej i lubelskich szpitalach Chrystus mógł przyjąć i do nich, jak przyszedł do Tomasza i by owocem tego spotkania była pogłębiona wiara objawiająca się w codziennym życiu. Wspominał też o przygotowywanym na KUL wrześnieowym Kongresie Kultury Chrześcijańskiej, na który zaprosił również rodaków ze Wschodu.

Dalszy ciąg uroczystości inauguracyjnych miał miejsce w lubelskim Trybunale Koronnym. Otworzył je koncert pieśni patriotycznych w wykonaniu Zespołu Tańca Ludowego UMCS pod kierownictwem Stanisława Leszczyńskiego. Zgromadzonych w Sali Reprezentacyjnej uczestników kursu i gości powitała dr Helena Gulanowska - organizatorka szkolenia i członek zarządu Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Lublinie. Prorektor Akademii Medycznej w Lublinie prof. dr hab. Jan Oleszczuk w swym wystąpieniu zaprosił młodych lekarzy ze Wschodu do podejmowania wysiłków w kierunku dalszego pogłębiania wiedzy medycznej, podejmowania studiów doktoranckich oraz korzystania z przygotowanych w tym celu przez Ministerstwo Zdrowia stypendiów zagranicznych. Głos zabrał także wiceprezydent miasta Lublina Zbigniew Wojciechowski, który zapewnił o zawsze otwartych drzwiach Ratusza i sercach Lublinian na sprawy rodaków ze Wschodu oraz wyraził nadzieję na rychłe ukończenie sejmowych prac nad ustawą o repatriacji. Kolejnym

mówcą był przewodniczący Okręgowych Izb Lekarskich dr Stanisław Kamiński. W imieniu uczestników tegorocznego kursu głos zabrał dr Dąbrowski z Sambora na Ukrainie, który wyraził wdzięczność organizatorom i sponsorom szkolenia, czyli Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, Akademii Medycznej w Lublinie i władzom miasta. Szczególne słowa podziękowania skierował pod adresem dr Heleny Gulanowskiej. W 1992 r. została ona zaproszona do Grodna, gdzie organizowano właśnie Stowarzyszenie Lekarzy Polskich - zrodził się wówczas pomysł zaproszenia kilkunastu osób do Lublina na szkoleniowy kurs medyczny. W pierwszych latach uczestnicy korzystali z gościny rodzin polskich. Od 1994 r., gdy Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” przyznało dotację na ten cel, liczba uczestników szkolenia prowadzonego w klinikach Lublina stopniowo się zwiększała.

Wczesną wiosną bieżącego roku Oddział „Wspólnoty Polskiej” w Lublinie powiadomił o nim 80 organizacji polskich na Wschodzie. Kandydatom postawiono następujące warunki: znajomość języka polskiego, przynależność i aktywna działalność w organizacjach polskich na Wschodzie oraz pokrycie kosztów podróży do Lublina. Spośród 220 zgłoszeń wybrano 36 osób - lekarzy i studentów medycyny różnych specjalności: kardiologów, internistów, chirurgów, endokrynologów, pediatrów i stomatologów. 15 osób pochodzi z Ukrainy, 12 z Białorusi, 4 z Litwy, 3 z Rosji oraz po jednej z Mołdawii i Kazachstanu. Podczas kursu obok wiedzy medycznej uczestnicy mogli pogłębić znajomość literatury i historii Polski. Dzięki dotacji Izby Lekarskiej odwiedzili Kraków, Częstochowę, Kozłówkę, Kazimierz i Nałęczów. Wzięli też udział w sesji „Lekarze w służbie życiu”, zorganizowanej przez lubelskie środowiska medyczne oraz Instytut Jana Pawła II KUL. Uczestnicy kursu byli też zaproszeni na spotkania z rektorem KUL oraz Okręgowymi Izbami Lekarskimi. Wakacyjne szkolenie zakończyło się 30 lipca br.

Wracający na Wschód lekarze zazwyczaj nadal utrzymują kontakt z Oddziałem Lubelskim Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, a z dr H. Gulanowską - serdeczne więzi.

ks. Ireneusz Korzeniowski



Oddział w Rzeszowie

Podsumowanie polonijnego lata

Tegoroczne lato ma się ku końcowi, a wraz z nim mijają liczne imprezy polonijnego lata 2000. Było udane, mimo niezbyt dobrej pogody. W zasadzie wszystkie przedsięwzięcia zaplanowane w województwie podkarpackim zakończyły się sukcesem. Setki młodych Polonusów bawiły się i uczyły na imprezach zorganizowanych przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

Wyjątkowo dopisała frekwencja podczas trzeciej edycji czteroletniego Studium Choreografii w Rzeszowie, prowadzonego przez Alicję Haszczakową przy współudziale kilkudziesięciu choreografów i muzyków - znawców tańców regionalnych z całej Polski. W tym roku w zajęciach uczestniczyło około 90 osób z ponad 20 krajów. Podczas uroczystego otwarcia wręczono 49 indeksów nowo przyjętym kursantom, delegowanym przez zespoły polonijne z całego świata. Podobnie wyglądała sytuacja na Kursie Tańców Polskich, prowadzonym przez Janinę Wojturską, na którym spotykają się co roku miłośnicy polskiego folkloru. Tego lata dotarła nawet grupa młodych tancerzy z Abakanu - stolicy Republiki Chakaskiej. Gdzie tych Polaków nie ma...

Wielojęzycznym gwarem rozbrzmiewały Lubaczów, Frysztak i Oleszyce, gdzie odbywały się kolonie letnie organizowane na zlecenie Ministerstwa Edukacji Narodowej, goszczące dzieci i młodzież z Polski, Ukrainy, Rosji i Białorusi. Wspólne zabawy, zajęcia i wycieczki umożliwiły im bliższe poznanie. Oddział Stowarzyszenia w Rzeszowie zorganizował w tym roku liczne kolonie i obozy specjalistyczne, m.in. artystyczną w Dąbrowie Tarnowskiej, zdrowotną w rymanowskim „Stomilu”, a także języka polskiego i poezji w Jasle.

Kolejną imprezą na Podkarpaciu były V Polonijne Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej w Stalowej Woli, w których uczestniczyło 8 drużyn z USA, Kanady, Austrii, Węgier, Białorusi, Litwy,



Kapela bystrzyckiej „Łączki” z Czech

Czech i Ukrainy. Od 10 lat patronuje im legenda polskiego futbolu - Kazimierz Górski. I tu, mimo kapryśnej pogody, imprezy sportowe cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności. W podsumowaniu uczestniczyła marszałek Senatu RP Alicja Grzeškowiak.

No i wreszcie gwóźdź sezonu - Polonijny Festiwal Dziecięcych Zespołów Folklorystycznych w Iwoniczu Zdroju, w którym uczestniczyło 12 zespołów z 10 krajów świata. Od pierwszego festiwalu, jaki miał miejsce przed ośmioma laty, znacznie wzrósł poziom artystyczny występów, wypiękniały stroje, poprawiła się organizacja imprez. Wprawdzie otwarcie festiwalu odbyło się w strugach deszczu, ale zadaszona estrada, wyjątkowo cierpliwa widownia pod parasolami, pozwoliły na dwugodzinny koncert wszystkim zespołom, a hucznym oklaskom nie było końca. Ośmiodniowe występy, mimo nie najlepszej pogody, przyniosły wypoczywającym

Beskidzka kapela z Czeskiej Bystrzycy





w Bieszczadach wczasowiczom, kuracjom i turystom wiele atrakcji, wzruszeń i głębokich przeżyć. Koncerty odbywały się bowiem nie tylko w Iwoniczu-Zdroju. Tradycyjnym zwyczajem polonijne zespoły koncertowały w wielu miasteczkach i ośrodkach Podkarpacia, m.in. w Lesku, Sanoku, Brzozowie, Rymanowie Zdroju, Jasle, Ustrzykach, Solinie i Polańczyku.

W tegorocznym festiwalu koncertowały: „Kukułeczka” z Łotwy, „Zgoda” i „Truskaweczka” z Litwy, „Biały Orzeł” i „Mała Lechowia” z Kanady, „Łączka” z Czech, „Tęcza” z Ukrainy, „Mała” ze Szwecji, „Krakowiak” z USA, „Dwa Bratanki” z Węgier, „Gaik” z Sankt Petersburga - Rosja i „Raduńskie Słowiki” z Białorusi. Wiele zespołom towarzyszyły znakomite kapele ludowe, których skoczne melodie nagradzane były rzesistymi oklaskami. Poszczególne imprezy festiwalowe zaszczylił swoją obecnością znakomici goście, m.in. prof. Andrzej Stelmachowski - prezes „Wspólnoty Polskiej”, Stanisław Zajac - wicemarszałek Sejmu RP, senator Mieczysław Janowski, Bogdan Rzońca - marszałek województwa podkarpackiego.

Rzeszowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” zamyka tegoroczne imprezy polonijnego lata wieloma osiągnięciami. Stowarzyszenie ma szczególne powody, by szczerzyć się tegorocznym polonijnym latem, bo podsumowuje swój dorobek 10-lecia działalności. Były to piękne lata. „Wspólnota Polska” potrafiła nie tylko utrzymać liczne kontakty z organizacjami polonijnymi w świecie, ale - co najważniejsze - nawiązała bardzo mocne więzi z Polakami i Polonią na Wschodzie. W ostatniej dekadzie XX wieku polskie środowiska za naszą wschodnią granicą, pozbawione wcześniej jakichkolwiek związków z Macierzą, wkroczyły z impetem w wir działalności, która zaowocowała powstaniem setek organizacji polskich w Rosji, na Ukrainie i Białorusi, Litwie, Łotwie, Kazachstanie, Gruzji i innych republikach b. ZSRR. Mimo trudnej sytuacji ekonomicznej w tych krajach powstają polskie zespoły pieśni i tańca. Dzięki festiwalom w Rzeszowie, Iwoniczu-Zdroju oraz innym tego typu imprezom zadzierzgnięte zostały ściśle więzi i wymiana doświadczeń w polonijnym ruchu folklorystycznym w świecie. Odnawiający się Kościół katolicki na Wschodzie skupia we wspólnotach parafialnych coraz więcej ludzi. Wo-



Indeksy dla tancerzy

fol. M. Zych

kół parafii i organizacji polskich powstają liczne ogniska kultury. Rośnie liczba dzieci pragnących uczyć się języka polskiego, a w ślad za tym powstaje coraz więcej klas i szkół z polskim językiem nauczania, szczególnie na Ukrainie, Białorusi i w Rosji.

Rozwój kontaktów w minionej dekadzie ma kolosalny wpływ na ożywienie współdziałania Polonii z Macierzą, mamy tego niezbite dowody i tu w kraju, i w środowiskach naszych rodaków rozsianych po świecie. Jesteśmy na dobrej drodze.

Lubomir Radłowski



„Biały Orzeł” z Kanady

Gustaw Herling-Grudziński (1919 - 2000)

4 lipca wieczorem zmarł w Neapolu Gustaw Herling-Grudziński. Odszedł świadek naszego wieku, który mówił o sobie: „Moja biografia jest symboliczna dla XX wieku. Żyłem w wieku totalitarnym, przeklętym, który, mam nadzieję już się skończył”. Gdy myślę o autorze „Innego świata” - książki, która dla kilku pokoleń Polaków miała znaczenie wyjątkowe i która, na zawsze, zostanie najważniejszą książką Herlinga, ciągle mam przed oczami wydanie, z którym zetknęłam się po raz pierwszy. Czerwona okładka londyńskiego wydawnictwa Gryf, ze wstępem Bertranda Russella. Ta książka to był szok. „Inny świat” było świadectwem cywilizacji sowieckich łagrów. Po tej książce, która jest arcydziełem polskiego piśmiennictwa, Gustaw Herling-Grudziński, emigrant polityczny, był bojkotowany przez prosowiecką lewicę w krajach zachodnich, a w Polsce ona, po prostu, nie istniała.

Miałam zaszczyt rozmawiać o tym z pisarzem, podczas jego pierwszego, triumfalnego wręcz przyjazdu do kraju. Dzięki protekcji jednego z żołnierzy spod Monte Cassino, kolegi Herlinga z batalionu łączności, mogłam chwilę z nim porozmawiać, zanim poniósł go tłum wielbicieli w Domu Literatury w Warszawie, gdzie ówczesny prezes polskiego PEN Clubu - Artur Międzyrzecki, także żołnierz spod Monte Cassino - wręczył mu honorową legitymację polskiego PEN. Gustaw Herling-Grudziński był oszołomiony i wzruszony przyjęciem, ale przede wszystkim faktem, że jego twórczość jest w Polsce znana. Powiedział mi wówczas - Nie miałem pojęcia, że moje książki są obecne w kraju. Gdy przyjechałem do Polski, zobaczyłem rzesze moich czytelników, o których nie miałem pojęcia, że są. I to było dla mnie ogromne przeżycie i sprawiło osobistą przyjemność. Pisarz pozbawiony więzi z czytelnikami traci sens pisania. Tylko ogromna samodyscyplina sprawiła, że pisałem, choć moi bliscy sądzili, że nikomu to nie jest potrzebne. Zmienili zdanie, gdy zobaczyli tłumy ludzi, którzy chcieli ze mną porozmawiać, którzy, przynosząc książki, często sprzed dwudziestu pięciu lat, prosili o dedykację. Ja zaś widząc te powielaczowe, konspiracyjne wydania „Innego świata” czy „Dziennika pisanego nocą” zrozumiałem, że przestałem być pisarzem emigracyjnym, a stałem się polskim pisarzem tworzącym w Neapolu.

„Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego dla mnie jest jedną z tych książek, po lekturze których można, jeśli w ogóle jest to możliwe, dotknąć i spróbować zrozumieć zmagania człowieka z systemem totalitarnym. Podczas tego pamiętnego dla mnie spotkania powiedziałam o tym pisarzowi. Gustaw Herling-Grudziński uśmiechnął się, zadowolony i odpowiedział: - To bardzo miłe dla mnie, ale nieprawdziwe stwierdzenie,

które sprawia mi, oczywiście, przyjemność jako autorowi. Za największego pisarza sowieckich obozów koncentracyjnych uważam Warłama Szalamowa, autora „Opowiadań kołymskich”. Cenię go nawet bardziej od Solżenicyna, który - moim zdaniem - napisał coś w rodzaju encyklopedii obozów sowieckich. Synteza ich przeżyć daje pełny obraz zjawiska. Ja przekazałem tylko doświadczenia jednego człowieka i moja książka jest czymś w rodzaju powieści o młodości tam spędzonej. Jeden z włoskich krytyków nazwał ją powieścią formacyjną. I tak to należy rozumieć.

Z pewnością dlatego uważamy go za świadka XX wieku, współtwórcę historii, jednego z najbłyszczących umysłów i talentów. Jednego z najbardziej niezłomnych i prawych ludzi, który niemal ćwierć wieku przed Aleksandrem Solżenicynem zdał relację z Gułagu. Przeżył faszyzm i komunizm, doczekał się niepodległej Polski, w którą nigdy nie wątpił. Dochował wierności wartościom trwalszym niż doraźne sytuacje i układy polityczne, bo - jak powiedział - „wierzył w idee i sens naszego życia dla innych”. W bitwie o Monte Cassino, za którą odznaczony został Krzyżem Virtuti Militari, był radiotelegrafistą w 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Później, w 1945 roku, w piśmie żołnierzy II Korpusu „Orzeł Biały” napisze: „Pisarz odpowiada jako artysta za swoje dzieło wobec porządku panującego w sztuce; jako człowiek natomiast wobec porządku obowiązującego w kręgu ludzkim, z którym czuje się związany”. Po ewakuacji II Korpusu wraz z Jerzym Giedroyciem brał udział w pracach założycielskich Instytutu Literackiego i „Kultury”, gdzie ukazało się, w 1956 roku, jego opowiadanie „Księżę Niezłomny”. Ten tytuł i to opowiadanie dla wielu czytelników Herlinga było synonimem jego, nie tylko literackiej, postawy. Od 1971 roku zaczął publikować „Dziennik pisany nocą”. Powoli, ale konsekwentnie zdobywał pozycję na Zachodzie. Był członkiem komitetu redakcyjnego kwartalnika emigracji rosyjskiej „Kontynent”, Komitetu Polcul Foundation (Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej) w Sydney, Porozumienia ponad Podziałami. Jeden z mężów zaufania na Zachodzie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Laureat nagrody Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, miesięcznika „Kultura”, Fundacji A. Jurzykowskiego, Fundacji im. Kościelskich, Radia Wolna Europa i francuskiego PEN Clubu. Gdy po 52 latach nieobecności pisarz po raz pierwszy gościł w kraju, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza nadał mu, w dniu urodzin, tytuł doktora honoris causa. Także Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Uniwersytet Jagielloński przyznały mu swoje najwyższe tytuły. W Polsce, gdzie uhonorowany został Orderem Orła Białego, ukazało się 11 tomów jego „Pism zebranych”, a każdy kolejny

przyjazd pisarza do kraju wzmagał zainteresowanie jego twórczością. W maju, podczas, jak się okazało, ostatniego pobytu w kraju, gdy odbierał doktorat honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, powiedział: „Mając 81 lat mam poczucie, że przeżyłem okropny wiek totalitarny. Był on bardzo ważny w życiu moim i moich rówieśników. To odcisnęło ślad w pisarstwie i tego już się nie usunie z literatury”. Herling-Grudziński był nie tylko jednym z najwybitniejszych polskich pisarzy, ale jednym z najwybitniejszych polskich intelektualistów XX wieku. Jego obecność w polskim życiu duchowym, politycznym, intelektualnym i literackim tego wieku była dla innych stałym punktem odniesienia. U schyłku XX wieku w polskim życiu publicznym był jednym z największych autorytetów. Autorytet budował zarówno twórczością literacką, jak też postawą. Pozostaną jego

niezwykłe książki: oprócz „Innego świata” także „Dziennik pisany nocą”. Prowadzony przez 25 lat - pełen ostrych obserwacji sceny politycznej i fascynujących uwag o sztuce, literaturze i podróżach. Pozostaną eseje i opowiadania. Także ostatnia książka - „Najkrótszy przewodnik po sobie samym”. - To nie autobiografia, to książka, w której opowiadam o najważniejszych problemach mego życia - mówił. I dodawał z uśmiechem podczas ostatnich spotkań z czytelnikami - Czytam ją z przyjemnością. Zawsze zachowywałem się tak, żeby mówić prawdę i służyć prawdzie.

Gdy odchodzi ktoś tej miary, to jakby gasło jedno ze słońc. Na szczęście pozostała jego wielka twórczość i niezłomna postawa, która dla wielu Polaków jest trwałą, niezawodną busolą.

Bogna Kaniewska

W 80. rocznicę historycznego zwycięstwa

W sierpniu bieżącego roku mija osiemdziesiąt lat od chwili, gdy w walnej bitwie pod Warszawą odparte i rozgromione zostały maszerujące na Polskę wojska bolszewickie. Było to ważne, wręcz przełomowe wydarzenie, które przesądziło nie tylko o losach naszego kraju, lecz i Europy. Z pełnym uzasadnieniem porównać je można ze zwycięstwem pod Grunwaldem i wiktoria wiedeńską. W miarę jak upływają lata, w miarę jak powiększa się dotychczasowy dystans chronologiczny, ocenić możemy coraz wyraźniej, coraz wszechstronniej znaczenie zwycięstwa oręża polskiego w 1920 roku.

Wczesnym rankiem 4 lipca 1920 r. zagrzmiały armaty na kilkusetkilometrowym froncie polsko- sowieckim, biegnącym od Dźwiny aż do bagien Polesia. Do ataku ruszyły wojska najsilniejszego Frontu Zachodniego Czerwonej Armii, dowodzonego przez Michała Tuchaczewskiego. Dowódca sowiecki wezwał swe wojska do decydującej rozprawy z Polakami. Na Zachodzie - podkreślał w rozkazie - „ważą się losy wszechświatowej rewolucji. Przez trupa Polski ciągnie droga do światowego pożaru. Na Wilno, Mińsk, Warszawę - marsz!”

W następstwie przewagi liczebnej i siły uderzenia wojskom sowieckim udało się przełamać front polski. Strategia Tuchaczewskiego polegała na stałym obchodzeniu pozycji polskich od północy, na śmiałych manewrach silnego zgrupowania kawalerii (III korpus), wspartych piechotą. Ale warunkiem powodzenia było zapewnienie sobie życzliwego poparcia ze strony sąsiedniej Litwy i Niemiec, wzdłuż granicy których dokonywano manewru oskrzydłującego. I poparcie takie zostało uzyskane.

12 lipca Litwa podpisała z Rosją Sowiecką traktat pokojowy, przyznający jej obszerny terytorium, ale zawierający klauzulę tajną, która zezwalała Armii Czerwonej na przemarsz przez terytorium Litwy. Również Niemcy dostrzegli w zwycięstwie sowieckim szansę dla siebie, możliwość obalenia, a przynajmniej nadwątlenia, narzuconego im przez Ententę Traktatu Wersalskiego. Gdy wojska sowieckie dotarły do granicy Prus Wschodnich, przy szlabanie granicznym w Prostkach doszło do pierwszych kontaktów i rozmów. Rokujący z Niemcami komisarz bolszewicki zapewnił, że „agresorzy polscy zostaną ukarani, a w Warszawie będzie utworzony rząd sowiecki”. Zapowiedział również obalenie Traktatu Wersalskiego i włączenie do

Rzeszy byłych terenów niemieckich, zgodnie z granicą z 1914 roku.

Tymczasem front polski na północnym wschodzie, wyrwany z posad 4 lipca, znajdował się w ciągłym odwrocie. Na nic zdały się próby kontrataków, wysiłki zatrzymania nieprzyjaciela na linii okopów niemieckich z czasów I wojny światowej. Ponosząc znaczne straty, dywizje polskie nieustannie się cofały. Mechanizmem uruchamiającym ten odwrot był nadal przede wszystkim ruch prawego skrzydła wojsk sowieckich. „Z powodu obejścia naszego lewego, północnego skrzydła przez nieprzyjaciela - cofa się reszta wojska ku zachodowi” - podkreślał w swej pracy o roku 1920 marszałek Piłsudski.

Wojska polskie, choć w ciężkim odwrocie poniosły duże straty, nie dały się okrążyć i pobić. Zachowując przez cały czas zdolność bojową, odstąpiły za Niemen. Walki przeniosły się nad Narew i Bug.

W Moskwie zapanowały nastroje triumfu. Sądono, że zwycięstwo nad Polską znajduje się już w zasięgu ręki. Widziano już Polskę zbolszewizowaną i myślami wybiegano coraz dalej. Jak można się zorientować na podstawie udostępnionych w ostatnich latach dokumentów, z opublikowanej korespondencji władców na Kremlu - nie zamierzali oni bynajmniej zatrzymać się na granicach zajętej Polski. Planowali wzniecenie ponownej rewolucji na Węgrzech, opanowanie Czechosłowacji i Rumunii, państw nadbałtyckich. Sięgali myślami nawet do Włoch, marząc o zaprowadzeniu i tam rządów sowieckich. Rzecz oczywista, nie zapomniano i o Niemczech, lecz nie mówiono o nich głośno, wierząc, że i tam dojdzie do wybuchu rewolucyjnego.

Jednak, ażeby to wszystko zrealizować, trzeba było rozprawić się z Polską. Rozkaz Tuchaczewskiego z 23 lipca nakazywał dalszy marsz na zachód. Dyrektywa z 10 sierpnia wytyczała już miejsca forsowania Wisły - od Włocławka do Wyszogrodu - tak, ażeby rejon Warszawy ujął od zachodu i wschodu w żelazne kleszcze. I tu, nad Wisłą, zamierzano zadać wojsku polskiemu decydującą i ostateczną klęskę.

Również na Zachodzie oraz w państwach sąsiednich nie wierzono, iż Polska zdoła się utrzymać wobec bolszewickiej nawały. Takie poglądy rozpowszechnione były zwłaszcza wśród polityków brytyjskich, ale także np. i czeskich. Gdy 24 lipca misja Ententy pod przewodnictwem lorda Edgara d' Abemona, udająca się do Polski, zatrzymała się po drodze w Pradze, prezydent Tomasz G. Masaryk przeko-



nywał jej członków, aby nie organizowali „żadnej pomocy militarnej na korzyść Polaków”. Motywował to tym, że „z punktu widzenia wojkowego pomoc taka będzie najzupełniej bezskuteczna i może łatwo podkopać autorytet mocarstw zachodnich”.

Ale zarówno przywódcy sowieccy, jak i wielu polityków zachodnich, błędnie oceniło sytuację. Ci ostatni nie docenili determinacji i woli walki Polaków w obronie niedawno odzyskanej niepodległości. Natomiast liderzy bolszewicy popełnili rażący błąd. Uważali, że wkroczenie Czerwonej Armii wywoła w Polsce poruszenie rewolucyjne - obróci robotników przeciwko pracodawcom, chłopów przeciwko właścicielom ziemskim.

Wszakże niczego podobnego, za bardzo małymi wyjątkami potwierdzającymi tylko regułę, nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, naród polski, jak nigdy zjednoczony, przeciwstawił się skutecznie bolszewikom, w których dostrzeżono wracających ponownie, a tylko przemałowanych zaborców.

Ogromną rolę odegrała tu dobrze zorganizowana praca informacyjno-wyjaśniająca i propagandowa, z którą docierano do najszerzych warstw społeczeństwa. Wielki był w tym udział Kościoła, całego duchowieństwa. Z listami pasterskimi wystąpili biskupi polscy. Do ludności Warszawy, Mazowsza i Podlasia apelował kardynał Aleksander Kakowski, metropolita warszawski. Z odezwaniami wystąpiły także partie polityczne, związki i organizacje społeczne.

Spółeczeństwo polskie jeszcze przed decydującym starciem zaczęło odzyskiwać wiarę we własne siły. Najlepszym tego dowodem był masowy napływ ochotników do wojska, których zgłosiło się około stu tysięcy.

W pierwszych dniach sierpnia, gdy bolszewicy zbliżali się już do Warszawy, naczelny wódz marszałek Józef Piłsudski wystąpił z planem rozebrania walnej bitwy i pokonania wroga. Najważniejszym elementem tego planu było skupienie nad rzeką Wieprzem wszelkich możliwych rezerw i uderzenie stąd na północ, celem oskrzydlenia od wschodu, a następnie okrążenia i pobicia całego sowieckiego Frontu Zachodniego.

Plan ten, oparty na klasycznych wzorach strategii wojennej, urzekał rozmachem i odwagą. Wszakże jego realizacja uzależniona była od kilku warunków. Przede wszystkim nie można było nigdzie pozwolić bolszewikom na przekroczenie Wisły, należało utrzymać przyczółek pod Warszawą i, co więcej, odwrócić uwagę nieprzyjaciela poprzez wstępne i posiłkowe uderzenie nad Wkrą. Plan bitwy zawierał także pewne ryzyko. Wynikało ono przede wszystkim z możliwości uderzenia na prawe skrzydło wojsk nacierających z nad Wieprza formacji sowieckiego Frontu Południowo-Wschodniego, w skład którego wchodziła silna i ruchliwa 1 armia konna Budionnego. Wszakże Marszałek, opierając się na danych polskiego wywiadu, liczył, iż wojska sowieckie z południa nie zjawiają się na czas pod Warszawą. Tak też się stało. Formacje Frontu Południowo-Zachodniego uwiędane były w walkach o Lwów, a jego dowództwo, kierując się własnymi względami, nie pospieszyło z szybką pomocą Tuchaczewskiemu.

Bitwa warszawska rozpoczęła się 13 sierpnia 1920 r. Na Warszawę ruszyło sześć dywizji sowieckich. Wstępnym uderzeniem udało się bolszewikom przełamać obronę polską i zająć Radzymin. Rankiem 14 sierpnia wojska sowieckie, wzmocnione nowymi posiłkami, ponowiły ataki. Wojska polskie, broniąc się zaciekle, musiały ustąpić na ostatnią linię obrony, która przebiegała wzdłuż pasma wzgórz

wydumowych, ciągnących się od Nieporętu do Rembertowa. Do boju rzucona została 19. dywizja piechoty, która wielkim wysiłkiem odzyskała Radzymin. Walki prowadzone były z dużą zaciętością i zmiennym szczęściem. Wieczorem Polacy ponownie utracili Radzymin. Na pomoc pospieszyła 10. dywizja gen. Lucjana Żeligowskiego.

W tym samym czasie - o świcie 14 sierpnia - nad Wkrą ruszyła do natarcia 5. armia polska gen. Władysława Sikorskiego. Uzyskała ona, mimo przewagi nieprzyjaciela, widoczny sukces, dezorganizując szyki wroga. Walka obfitowała w niezwykle epizody, między innymi 203. pułk ułanów dokonał udanego wypadu na Ciechanów, gdzie znajdował się sztab sowieckiej 4. armii. Ucieczka dowódcy armii była tak pośpieszna, iż kazał on zniszczyć radiostację, która stanowiła jedyne źródło łączności z dowództwem Frontu. Nie pozostało to bez dalszych poważnych następstw dla ogólnego przebiegu bitwy.

15 sierpnia gen. Żeligowski siłą trzech dywizji zaatakował Radzymin. Miasto zostało wyzwolone, zaś w dniu następnym Polacy tak umocnili swoje pozycje, iż przekreślone zostało niebezpieczeństwo dla Warszawy, grożące jej od strony północno-wschodniej. Gen. Żeligowski, w dowód wdzięczności dla odegranej przez niego roli, otrzymał tytuł honorowego obywatela stołecznego miasta Warszawy.

Najważniejsze, decydujące dla przebiegu całej toczącej się bitwy działanie - atak z nad Wieprza - rozpoczęło się rankiem 16 sierpnia. Dywizje polskie, zgodnie z oczekiwaniami, natrafiły na słabo obsadzony przez wroga odcinek i szybko zaczęły posuwać się naprzód, w kierunku północnym. Już pierwszego dnia przebyto odległość 45 kilometrów. Również w następnych dniach postępy wojsk polskich były bardzo duże. Grupa uderzeniowa wysłała na skrzydło, a następnie tyły wojsk sowieckich, kompletnie je dezorganizując. 20 sierpnia wojska polskie przekroczyły Bug, 21 zajęty został Brześć, 22 - Białystok. W dwa dni później osiągnięto granicę Prus Wschodnich. Odcięte liczne dywizje sowieckie znalazły się w okrążeniu. Najsilniej mijał się III korpus konny, starając się przerwać na wschód. Początkowo to mu się udawało, jednak murem stanęły przed sowiecką kawalerią pułki poznańskie. Wojska sowieckie musiały szukać schronienia na terytorium Prus Wschodnich. oprócz kawalerii przeszło tam jeszcze sześć dywizji piechoty. Zostały internowane, lecz Niemcy nie strzegli ich zbyt pilnie.

Większość wojsk sowieckiego Frontu Zachodniego została zniszczona. Poległy, bądź zostały ranne dziesiątki tysięcy żołnierzy. Polacy wzięli 66 tysięcy jeńców, zdobyli 231 dział, ponad tysiąc karabinów maszynowych, wielką ilość różnego sprzętu wojskowego, olbrzymie taborry.

Trwająca dwa tygodnie bitwa warszawska zmieniła radykalnie nie tylko sytuację militarną, ale i ogólne położenie polityczne. Rząd sowiecki, który wysuwał wobec Polski żądania wydające ją faktycznie na jego łaskę - teraz zmienił swe stanowisko i podjął poważne rokowania o zawieszenie broni. Wprawdzie do momentu podpisania rozejmu stoczyć musiano jeszcze ciężkie boje, jednak wynik walk był przesądzony.

Odwrociła się karta historii. Sowieckie marzenia o rozpaleniu w Europie rewolucji bolszewickiej zostały przekreślone. Polska i inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej uzyskały możliwość pokojowej egzystencji oraz utrwalenia swej niepodległości.

Piotr Łossowski

BIULETYN STOWARZYSZENIA
**WSPÓLNOTA
POLSKA**

Wydawca:

tel/fax redakcji:

centrala:

e-mail:

Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”
ul. Krakowskie Przedmieście 64, 00-322 Warszawa
(+48 22) 826 88 70
(+48 22) 827 04 40 w. 263, 826 20 41 - 44 w. 263
wspolnota@wspolnota-polska.org.pl
apanecka@wspolnota-polska.org.pl

Redaktor Naczelny:

Zespół:

Opracowanie graficzne:

Druk:

Indeks:

Agnieszka Panecka
Iwona Borowska-Popławska
Jolanta Wroczyńska

Ratt-Line

ELIPSA

ISSN 1429-8457

List z Astrachania

Drodzy Bracia i Siostry,

Pozdrawiamy serdecznie z parafii Matki Bożej Wniebowziętej z Astrachania w Rosji nad Morzem Kaspijskim. Nasza parafia została założona ponad 400 lat temu. Wieki rozwoju duchowego umacniały wiarę Polaków, Niemców, Rosjan i Ormian. Z chwilą wybuchu rewolucji nastąpiły aresztowania i zsyłki na Syberię. Rozgrabiono kościół, cmentarz i pozostałą własność parafii. Świątynię zmieniono w stajnię, skład, stolarnię. Z Bożą pomocą budynek ocalał, ocalały pordzewiałe krzyże. Nasz zrujnowany kościół potrzebuje natychmiastowej pomocy i remontu.

Nasza wspólnota na początku 1992 roku liczyła kilka osób, a obecnie ok. czterystu. Robimy co możemy, nasi specjaliści mogą wykonać plany i uczestniczyć w pracach, jednak sami nie jesteśmy w stanie wyremontować świątyni. Dlatego razem z naszym biskupem Clemensem Picklem zwracamy się z gorącą prośbą do ludzi rozumiejących nasze potrzeby o pomoc w odrestaurowaniu kościoła.

Będziemy wdzięczni, zwłaszcza w modlitwie, za okazaną pomoc w tej świętej sprawie.

ks. Krzysztof Niemyski - proboszcz parafii Matki Bożej Wniebowziętej w Astrachaniu
Rosja, 414000, Astrachan, ul. Pobiedy 3
tel./fax: (+7 8512) 390541
e-mail: kostel@astratel.ru lub caritas@astratel.ru

biskup Clemens Pickel
RUS - 410026 Saratow, PO Box 1469
tel. (+7 8452) 731549, fax: 731559
e-mail: pickel@san.ru

Tańczmy w Recklinghausen

Związek Polaków „Zgoda” w RFN T. z. uprzejmie informuje, że w dniach 21 - 22 października 2000r. w Domu Polskim w Recklinghausen przeprowadzony zostanie I Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Do udziału w Festiwalu zapraszamy polonijne dziecięce i młodzieżowe zespoły folklorystyczne z terenu całej Europy. Głównymi sponsorami naszej dwudniowej imprezy jest Urząd Kanclerza Republiki Federalnej Niemiec oraz Kancelaria Państwowa Landu Północnej Nadrenii Westfalii. Związek Polaków „Zgoda” zapewnia koszty przejazdu uczestników Festiwalu w dwie strony, pełne całodienne wyżywienie oraz noclegi.

Dla laureatów naszego Festiwalu przewidziane są nagrody w następujących wysokościach:

- I miejsce - DM 5.000**
- II miejsce - DM 3.000**
- III miejsce - DM 2.000**

Ponadto wszystkie grupy występujące w naszym Festiwalu otrzymają pamiątkowe dyplomy i puchary.

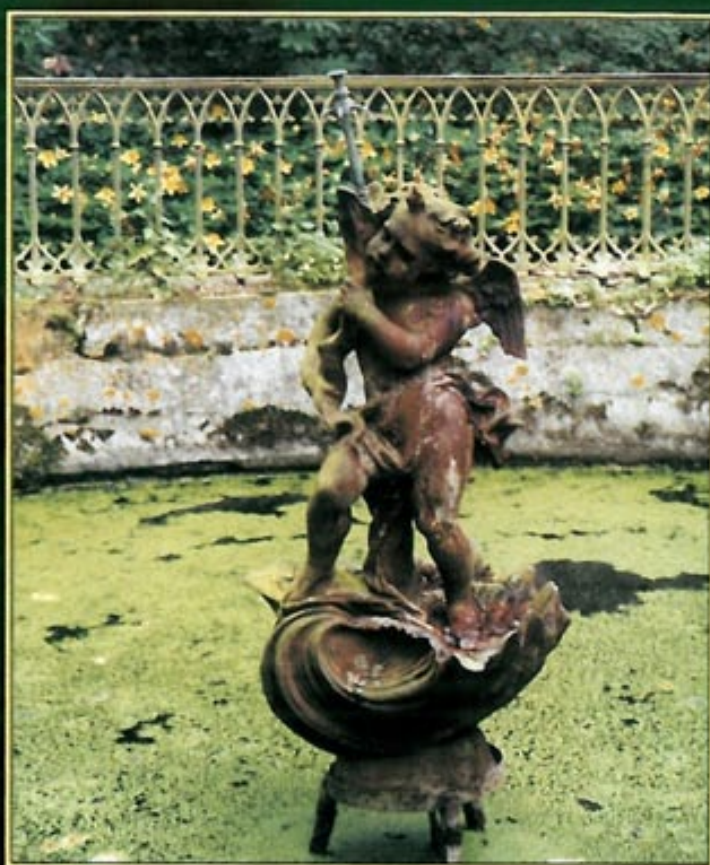
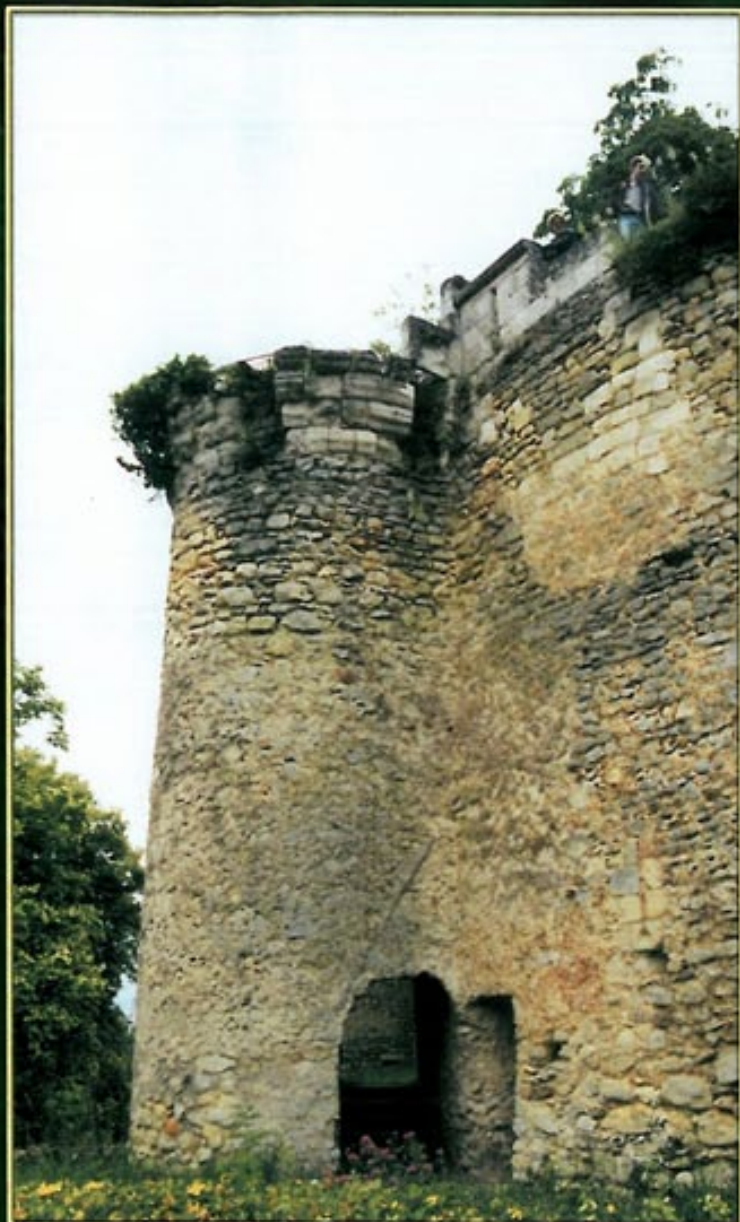
Zgłoszenia przyjmuje Związek Polaków „Zgoda” w RFN,
Marienstrasse 50, D - 45663 Recklinghausen,
telefon: 02361 - 652328; fax: 02361 - 656278; e-mail: zgoda-zentrale@t-online.de

Zespoły ubiegające się o udział w naszym Festiwalu, proszone są o pisemne wysłanie swojego zgłoszenia wraz z video - kaseta do 15.09.2000 (decyduje data stempla pocztowego). Program występu eliminacyjnego zespołu folklorystycznego nie może przekraczać 30 minut. W przypadku dużej ilości zgłoszeń, Związek Polaków „Zgoda” zastrzega sobie prawo wyboru zespołu.

Z polonijnym pozdrowieniem
mgr Waldemar Wachowski - prezes Związku Polaków „Zgoda” w RFN

Montrésor

fot. A. Zawadzka



Biblioteka Polska w Paryżu

fot. A. Zawadzka



Jedna z pracowni



Prezes L. Talko
na progu



Dziedziniec



Muzeum
A. Mickiewicza



Katyń



Cmentarz poświęcił Prymas Polski i Biskup Polowy Wojska Polskiego



Wieniec od Premiera Rzeczypospolitej



Nad grobem dziadka



fot. J. Gruszyński i J. Ostalowski

Australia

foto. Z. S. Portowy



Kościół i szkoła w Polish Hill River



Pomnik Strzeleckiego w Jindabyne u podnóża Gór Śnieżnych



U wejścia do Domu Polskiego w Maitland

Pomnik Katyński przed Centralnym Domem Polskim w Adelaide



Tablica upamiętniająca przybycie pierwszych polskich osadników do Polish Hill River

Klub Polski w Brisbane



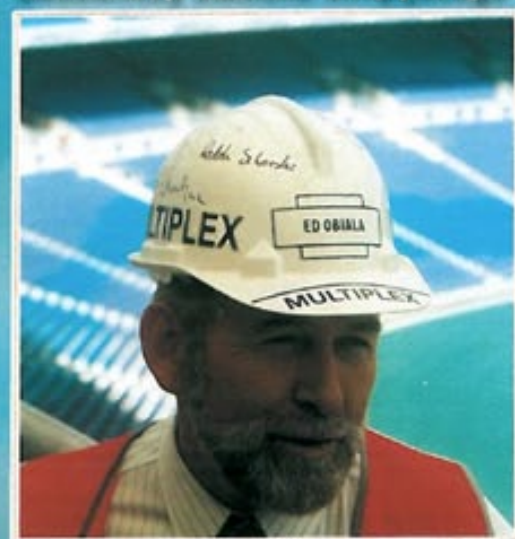


Atrakcja turystyczna - Dwunastu Apostołów



Australia Stadium

Edmund Obiała
budowniczy stadionu olimpijskiego



Opera, w tle fragment Harbour Bridge



Typowy
mieszkaniec
Australii

Uluru (Ayers Rock) - największy na świecie monolit

